



ZESZYT OSUCHOWSKI

Zeszyt Osuchowski

Nr 17

OSUCHY 2020

WYDAWCA

Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej
23 – 412 Łukowa
tel. 84 687 40 60
e-mail: gokluk1@wp.pl
www.lukowa.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Wiesława Kubów, Maria Działo, Elżbieta Nizio, Tomasz Brytan

DRUK

Z.P. „Helvetica”
ul. Włosiankarska 13A
23-400 Biłgoraj

ZDJĘCIA

zbiory prywatne: Danuty Ćwiklińskiej, Henryka Otręby, Teresy Kłosek, Marii Działo
zbiory: Muzeum Ziemi Biłgorajskiej

© GOK w Łukowej

ISSN 2657-6856

*Henryk Otręba „Żuk”
żołnierz I batalionu BCh „Rysia”*

Wspomnienia młodego partyzanta

Ja, Henryk Otręba, syn Jana i Marianny z Kozyrów, urodziłem się 6 marca 1928 roku w Zawadzie (powiat Opatów, województwo świętokrzyskie). Wychowałem się w rodzinie chłopskiej. Rodzice pracowali na własnym gospodarstwie rolnym. Ojciec Jan (ur. w 1873 r.) służył przez 5 lat w Armii Carskiej, objechał całą Rosję i wiele doświadczył. Był bardzo uzdolnionym człowiekiem. Znał literacki język polski i język rosyjski. Budował domy, kościoły, wiatraki, wykonywał różne prace: kołodziejskie, stolarskie, spawalnicze i tokarskie. Robił piękne meble dla rodziny, a nawet zbudował skrzypce. Przy tych wszystkich zdolnościach uprawiał ziemię, z której wyżywiła się cała nasza rodzina. Był człowiekiem wielkiej wiary chrześcijańskiej, uczciwy, wielki patriota. Nikomu nie odmówił pomocy. Sąsiedzi nazywali mego Ojca „świętym Janem”. Mama moja Marianna była młodsza od Ojca o 10 lat. Urodziła 10 dzieci, z których dwoje zmarło na „hiszpankę”, a wieku dorosłego dożyło 6 synów (Józef, Bolesław, Stanisław, Franciszek, Władysław i ja, najmłodszy Henryk) i 2 córki (Regina, Helena). Moje starsze rodzeństwo doczekało sędziwego wieku, lecz w tej chwili wszyscy już nie żyją. Z dużej rodziny zostałem już tylko ja, 92-letni dziadek. Ojciec mój dla swojej rodziny wybudował, jak na tamte czasy, ładny i funkcjonalny dom oraz obiekty gospodarcze w Zawadzie, gdzie urodziły się wszystkie jego dzieci, a moje liczne rodzeństwo. Rodzice mieszkali z nami we wsi Zawada do 1935 r. Później, namówieni przez krewnych Ojca, którzy mieszkali w Metelinie koło Hrubieszowa, kupili 10 ha ziemi po parcelacji w kolonii Dąbrowa (dawna gmina Mieniany, powiat Hrubieszów, bardzo żyzna lessowa ziemia). Ojciec wybudował w 1935 r. nowy dom i zaplecze gospodarcze. Dwaj starsi bracia, Stanisław i Władysław, już ze swymi rodzinami, też wybudowali domy na kupionej przez Ojca

parceli i wspólnie gospodarowali. Siostra Regina w międzyczasie wyszła za mąż i zamieszkała w Hrubieszowie. I przyszła okrutna wojna i mordy Ukraińców i UPA (w 1942/43/44 r.) na zamieszkałej na tych terenach polskiej ludności. 12 lutego 1944 r. kolonia Dąbrowa, jak też wiele innych wsi, została spacyfikowana, a domy spalone przez żandarmerię niemiecką, policję ukraińską i oddziały UPA. Tomasz Flis (pseudonim „Vis”) ze swoim niepełnym plutonem próbował obronić kolonię i ludzi (on i Jego rodzina mieszkali w Dąbrowie), lecz nie udało się i kolonię spalono. Kilkoro ludzi zginęło, z mojej rodziny 1 osoba. Ludzie uciekali do lasu. Moja rodzina, z tym, co zdołała załadować na wóz, uciekła do lasu pod Tyszowce, a potem na wsie zamojskie. Po tułaczce wrócili do Zawady, do brata Ojca – Łukasza Otręby i do mojego starszego brata Bolesława, który ze swoją rodziną mieszkał we wsi Mikułowice. Należałoby w tym miejscu wspomnieć o dowódcy VII plutonu Tomaszu Flisie „Visie” i okropnym mordzie na Jego rodzinie i sąsiadach. Banda nacjonalistów ukraińskich siekierami i widłami wymordowała rodzinę T. Flisa, Bociana i Fuszera. Nadmienię jeszcze, że po tym strasznym morderstwie 1 października 1943 r., a przed pacyfikacją kolonii Dąbrowa (miałem wówczas niepełne 15 lat), kiedy jechałem z sąsiadem do Hrubieszowa jego saniami, aby dostarczyć swojej siostrze Reginie żywność, zostałem zatrzymany przez Niemców z posterunku niemiecko-ukraińskiego, który mieścił się w szkole w Czerniczynie. Na tym posterunku Niemcy przywiązali mnie do podłogi i okrutnie bili przez kilka godzin dziennie. Chcieli wymusić informacje o działalności partyzanckiej (do partyzantki należał mój starszy brat Franciszek, a ja byłem w tę działalność wtajemniczony). Była to działalność związana z I batalionem Stanisława Basaja „Rysia” i oczywiście z VII plutonem T. Flisa „Visa”. Nie zdradziłem nikogo – wytrzymałem. Obitego, z połamanymi żebrami, pokrwawionego, wyrzucili mnie do rowu – a była wtedy ostra, śnieżna zima. Ukrainiec o nazwisku prawdopodobnie Romańczuk (był sąsiadem T. Flisa i brał udział w wymordowaniu Jego rodziny i sąsiadów), ubrany w mundur niemiecki z literą „R”, ostrzegł mnie, abym nie próbował uciekać,

bo mnie zastrzelił! Znałem go, mieszkał niedaleko od naszego gospodarstwa. Przejeżdżający saniami Polak ulitował się i zabrał mnie do Hrubieszowa do siostry Reginy. Przez wiele dni siostra leczyła moje obite ciało. Potem wróciłem do Dąbrowy do rodziców. Po 12 lutym 1944 r., po pacyfikacji i spaleniu kolonii, po ucieczce mojej rodziny (rodzice) do brata mieszkającego w Mikułowicach, do Hrubieszowa i do Zawady, starszy brat Franciszek „Orkan” dołączył z plutonem „Visa” do I batalionu oddziału hrubieszowskiego Batalionów Chłopskich, dowodzonego przez Stanisława Basaja „Rysia” i stacjonującego w okolicy kolonii Ameryka. Franciszek zabrał mnie ze sobą do oddziału. Nadano mi pseudonim „Żuk”. I tak zaczęły się moje partyzanckie walki w obronie wielu wsi w powiecie Hrubieszów, następnie na Zamojszczyźnie i w końcu w lasach Puszczy Solskiej. Z partyzantami z batalionu „Rysia”, wraz z Frankiem, braliśmy udział w kilkunastu walkach z Niemcami i nacjonalistami ukraińskimi. Byłem amunicyjnym przy karabinie maszynowym. Miałem wtedy 16 lat. Wymienię dla przykładu walki w powiecie Hrubieszów, jeszcze w lutym i w marcu w obronie wsi Małków, Zabłocie, kolonii Górki, Sahryń i rozbiście band UPA oraz posterunku policji ukraińskiej w Mienianach. Walczyliśmy z żandarmerią niemiecką i ukraińską policją oraz oddziałami SS i UPA. W czasie tych heroicznych walk ginęli moi wojskowi koledzy. Ja z bratem przeżyłem i z pozostałymi dalej broniliśmy wsi i osad ludzkich. Pod koniec marca I batalion „Rysia” walczył w obronie wielu wsi położonych nad Bugiem (były to najczęściej kolonie). Walki te bardzo często kończyły się sukcesem. Wyjątek w powodzeniu stanowił napad Niemców (4 bataliony Wehrmachtu z artylerią, samochody pancerne, granatniki, wspomagani przez policję ukraińską i bandy UPA) na piękną, dużą wieś Smoligów¹. Mieszkańcy tej wsi z miejscowym plutonem Batalionów Chłopskich bronili się od rana do późnego

¹ Chodzi o pacyfikację w marcu 1944 roku, dokonaną przez oddziały SS „Galizien”, wsparte przez policję ukraińską i SKW (Samooboronna Kuszczow Widdily - oddziały samoobrony ukraińskiej, utworzone do ochrony ukraińskich wiosek oraz dla stworzenia zaplecza dla UPA) z okolicznych wsi. Siły niemiecko-ukraińskie liczyły ok. 2000 ludzi. Zginęło ponad 200 Polaków; S. Jastrzębski, *Ludobójstwo nacjonalistów ukraińskich na Polakach na Lubelszczyźnie w latach 1939-1947*, Wrocław 2007, s. 116-117.

wieczora. Jednak w tej barbarzyńskiej walce zginęło ponad 300 osób, przeważnie cywilów, ale też pochodzących z miejscowego plutonu BCh. Ocalała ludność w tej wsi, ochraniana przez batalion „Rysia”, w tym pluton „Visa” (brałem z bratem Frankiem czynny udział w tej akcji), mogła uciec pod wieś Borsuk i wieś Tyszowce. Był to straszny widok ludzi uciekających w trwodze i rozpacz. Do dzisiaj mam to przed oczami, bo jako nastolatek widziałem i doświadczyłem tych potwornych okrucieństw wojny. W tej dramatycznej walce batalion „Rysia” zmuszony był wycofać się, aby nie stracić ludzi. Oddziały kierowały się na Zamojszczyznę i Puszcę Solską.

Przed przejściem I batalionu „Rysia” do Puszczy Solskiej dowódca, Stanisław Basaj, pod koniec marca 1944 r. zakwaterował oddziały we wsi Lipowiec na bardzo potrzebny wypoczynek, postój. Ludność tej wsi opuściła swoje domostwa uciekając przed Niemcami i banderowcami. Obok wsi biegła linia kolei wąskotorowej, łącząca cukrownię Woźuczyn z Łaszczowem, Werbkowicami i Hrubieszowem. Na tej linii w Werbkowicach wykołował się pociąg z transportem cukru. Żandarmi niemieccy chcieli ściągnąć ludzi ze wsi Lipowiec, aby podnieść wykołowane wagony. Nie wiedzieli, że spotkają partyzantów. Zaczęła się niespodziewana walka, która trwała około 2 godzin. Zginęło kilkunastu niemieckich żandarmów i dwóch naszych żołnierzy oraz sanitariuszka Zofia Zdziechowska „Poziomka”, moja kuzynka z Metelina. Przed tą walką stałem na warcie przed domem, gdzie byli zakwaterowani żołnierze z mojego plutonu „Visa”. Zaalarmowałem dowódcę – a było to o świcie. Pluton „Visa” zniszczył tory kolejowe, drewniany most i słupy telegraficzne. Po wielu walkach i potyczkach po drodze do Puszczy Solskiej I batalion „Rysia”, wyniszczony i mocno osłabiony ciągłymi walkami w obronie ludności przed okupantem i bandami ukraińskimi, cierpiący na brak amunicji, żywności, ubrań i butów, liczył wówczas 700 żołnierzy. Dowódca podjął decyzję, aby starszych, schorowanych partyzantów zwolnić, dając im możliwość powrotu do rodzin. Pozostali, młodzi i zdrowi, około 300 ludzi, dotarli w kwietniu na Zamojszczyznę w okolice Bondyrza, Osuch i innych miejscowości (było to na Święta Wielkanocne). Do końca

kwietnia I batalion „Rysia” prowadził walki obronne i dywersyjne (wysadzał niemieckie pociągi). A na początku maja batalion (liczący 10 plutonów) bronił się przed nawałą Kałmuków (armia Własowa)², liczącą, jak podano w literaturze, około 4000 ludzi, nad rzeką Tanwią. Pamiętam, jak Kałmucy na koniach atakowali partyzantów po drugiej stronie rzeki. Żołnierze bronili odcinka między Osuchami a wsią Kulasze na południe od przysiółka Buliczówka. Dalszych sektorów nad rzeką Tanwią broniły również inne oddziały partyzanckie. Walki w obronie tego ok. 20-kilometrowego odcinka trwały mniej więcej do pierwszej dekady czerwca 1944 r. Oddziały Kałmuków wycofały się z „Zatanwia”. Zginęło bardzo wielu „własowców”³. Na polecenie majora Edwarda Markiewicza „Kaliny” z Armii Krajowej, oddziały BCh i AK wycofano z powrotem w głąb Puszczy Solskiej w okolice Bondyrza. 18 czerwca 1944 r. batalion „Rysia” w okolicach wsi Bondyryz w godzinach rannych został zaatakowany przez Wehrmacht, który był bardzo silnie uzbrojony (broń pancerna, moździerz). Partyzanci dzielnie bronili się przez kilka godzin. Po obu stronach zginęło wielu żołnierzy⁴. Oddziały „Rysia” wycofały się w głąb Puszczy. Wielu ciężko rannych żołnierzy przewieziono do szpitali polowych⁵. W dniach 18-25 czerwca, po walkach z Niemcami pod Bondyryzem, codziennie trwały walki i potyczki z Niemcami w różnych miejscach Puszczy Solskiej, aż do kulminacyjnej wielkiej bitwy pod Osuchami nad rzeką Sopot, która rozpoczęła się 25 czerwca 1944 r. (niedziela) o świcie.

Nastąpiło natarcie wszystkich oddziałów BCh i AK na 3 linie niemieckie, aby przebić się z okrążenia. Ostatecznie w ogromnie ciężkich tych bitwach udało się przerwać linię okrążenia niemieckiego w jednym miejscu (pod Osuchami) i wydostać z niego (oddział „Wira” AK i częściowo pluton „Visa” oraz pluton „Bruchalskiego”⁶). Dalej trwały ciężkie walki w grupach, co kończyło się tragicznie. Partyzanci

² Chodzi o kałmucki korpus kawalerii, wydzielony z armii gen. Własowa, pod dowództwem płk. Dolla.

³ Potoczne określenie żołnierzy służących w armii gen. Własowa.

⁴ Straty po stronie polskiej były małe

⁵ Nie było tam wówczas polskich szpitali polowych. Istniał jedynie Szpital Leśny „665” Obwodu AK Biłgoraj.

⁶ Feliksa Drzygało.

ginęli, jednostki ratowały się w bagnach, a Niemcy do nich strzelali. Wielu partyzantów okupanci wzięli do niewoli, a po przesłuchaniach rozstrzelali albo zesłali do obozu koncentracyjnego na Majdanek w Lublinie. Nadmienię o swoim I batalionie „Rysia”, gdzie z bratem Franciszkiem walczyliśmy w natarciu na niemiecką linię okrążenia. Batalion „Rysia” 25 czerwca pierwszy uderzył na barbarzyńców niemieckich.⁷ Teren był zaminowany i w pierwszym uderzeniu ginęli moi koledzy partyzanci, rozszarpywani przez miny. Niemcy strzelali z broni maszynowej, granatników i artylerii. Było to piekło na ziemi. To działo się na wielkiej łące przed rzeką Sopot. Zginęło około 150 żołnierzy (nie są to pełne dane podane w literaturze). W tej strasznej bitwie zginął mój brat Franek. Przy mnie, dostał pociskiem w głowę, wypowiedział jedynie słowa „o moja Matko Boska”. Nie mogłem Mu pomóc – został w lesie z innymi zabitymi partyzantami. A ja uciekałem dalej z innymi żołnierzami, biegłem do nasypu nad rzeką Sopot i przepłynąłem na drugą stronę (prawą). Schroniłem się w bagnach. Trzymałem w ręku granat, gdyby Niemcy mnie znaleźli. Wszedłem do bagna po szyję, trzymając się korzeni krzewów i zarośli, siedziałem tam całą noc, z głową nakrytą liśćmi. Rano usłyszałem rozmowę polską, wydostałem się z bagna. Byli to moi partyzanczy koledzy z batalionu „Rysia”, spora grupa, w przybliżeniu mogło to być 80 żołnierzy. Razem znaleźliśmy zabitego konia i każdy z nas odkroił kawałek mięsa i upiekł na ogniu i taki to był posiłek. Maszerowaliśmy w kierunku Józefowa. Odłączyliśmy się od grupy – ja, chorąży z innego plutonu i Mączka z Metelina, którego znałem. Przedzieliła nas grupa Niemców na furmankach. Wznowiliśmy marsz, aby dołączyć do grupy, lecz już jej nie spotkaliśmy. Idąc dalej doszliśmy do spalonej gajówki gdzie, znalazłem trzy woreczki kaszy. W tej gajówce spotkaliśmy czterech oficerów rosyjskich w mundurach i z bronią. Rosjanie mieli kociołki to też, na ognisku ugotowaliśmy kaszę i pożywiliśmy się wspólnie. Rosjanie proponowali nam, aby z nimi zostać do następnego dnia, ale chorąży (nazwiska nie znałem) nie wyraził

⁷ Bitwę pod Osuchami zaczęły jako pierwsze oddziały: BCh „Skrzypika” i AK „Topoli” około godziny wpół do pierwszej.

zgody i poszliśmy dalej w kierunku Józefowa.

Około godziny 11 zauważyliśmy jadących Niemców. Rozeszliśmy się każdy w inną stronę. Nie wiedziałem nic o losie kolegów. Zostałem zauważony przez tych Niemców jadących na wozach. Zrobili na mnie obławę, krzycząc: „bandyte-partyzanty”, złapali mnie i doprowadzili do wsi, gdzie był cały pułk Wehrmachtu. Na podwórzu jednego z gospodarstw zobaczyłem związanych moich dwóch kolegów partyzantów. Był to bardzo upalny 27 czerwca. Po kolei brano nas na przesłuchanie, w kolejności: chorąży, Mączka z Metelina i ja. W czasie przesłuchania jeden z Niemców chciał uderzyć mnie karabinem, jednak drugi powstrzymał go ratując mi życie. W godzinach wieczornych tego samego dnia, około godziny 19, cały pułk Wehrmachtu wycofał się z tego terenu. Załadowano nas na ciężarówkę i przewieziono na żandarmerię w Zwierzyńcu. Zabrano nam paski od spodni i zawieszono na stację kolejową. W tym czasie przeżyłem wielki szok, myśląc, że wiozą nas na rozstrzelanie. W myślach żegnałem się z rodziną i modliłem się. Na stacji stał pociąg z wielką ilością wagonów towarowych wypełnionych ludźmi. Do tych wagonów wrzucono mnie i kolegów. I tak znalazłem się z tysiącami innych ludzi na Majdanku (w obozie koncentracyjnym w Lublinie).

Osadzono nas na polu 1, blok 8. Pamiętam, że te baraki były naprzeciw baraków z Francuzami. Nie posłano mnie do pieca. Byłem młody, wykorzystano mnie z innymi do robót rozbiórkowych na polu 3 i wielu innych prac na terenie obozu Majdanek. Pamiętam, że na jeden dzień przed wyzwoleniem i wyjściem z obozu rozbieraliśmy baraki na innym polu i gdy prowadzono nas z robót, przy bramie 1 pola (wachta Niemców) palił się ogromny stos papierów – dokumentów. Nie dostaliśmy tego dnia żadnego posiłku. Zaczęły się naloty na teren Lublina, który już płonął, słyszałem strzały artylerii. Niemcy naganiali więźniów do schronu, aby zmusić do krycia się, by nie zauważono ludzi. Strzelali też z broni maszynowej po wszystkich barakach z wież obserwacyjnych, aby więźniowie nie wychodzili. Wzmogły się naloty i ostrzał artylerii na Lublin – były to walki frontowe na

przedmieściach Lublina od strony Chełma. Niektóre baraki wokół obozu paliły się. Około północy Niemcy odeszli od bramy. Spora grupa więźniów wyszła z obozu. Okazało się jednak, że dalej poza obozem byli jeszcze Niemcy i strzelali z broni maszynowej do tych więźniów. Prawdopodobnie kilkoro z tej grupy zginęło, a ci pozostali przy życiu wrócili do obozu. Dopiero o świcie zrobiło się spokojniej, być może nalot i walki frontowe ustały. Wyszliśmy z obozu wszyscy ci, którzy mogli chodzić. Moja grupa szła wzdłuż obozu w kierunku Kraśnika. W trakcie marszu zatrzymali nas żandarmi na motocyklach i próbowali nas wylegitymować. Mój kolega chorąży i inni, którzy znali niemiecki, wyjaśnili, że dokumenty zostały w obozie zniszczone. Więźniowie okrążyli żandarmów, ci ze strachu krzyknęli: „los...los”⁸ i odjechali. Idąc dalej napotkaliśmy grupę brudnych, zarośniętych i mocno wyniszczonych Niemców. Nie zwracali na nas uwagi. Byli to pewnie Niemcy idący z linii frontu – prowadził ich cywil. Dotarliśmy do pierwszej wsi za Lublinem, lecz nazwy nie pamiętam. Nakarmiono nas dozując żywność, żeby nie rozchorować się po wielodniowej głodówce. Mogliśmy się umyć (opłukać pchły i inne robactwo) oraz spokojnie przenocować. Do dzisiaj tkwi mi w pamięci fakt, który wydarzył się w tej wsi na drugi dzień. Skądś przyszli Żydzi, ukrywali się gdzieś w bunkrach w lesie. Mieli bardzo długie karabiny, byli zarośnięci, z długimi brodami i wynędzniali jak i my, i głodni. Nadjechali Kozacy na koniach, kazali Żydom rzucić karabiny na jedną gromadę, ulokowano ich w rodzinach rolników. W czasie pobytu w tej wsi rolnicy i ich rodziny oraz partyzanci opiekowali się nami do momentu, kiedy wyzwolony został Lublin. Po nabraniu nieco sił, skierowano nas do Pek⁹ w Lublinie. Zakwaterowano nas, jak pamiętam, w budynkach po Niemcach (były tam łóżka i koce). Opiekowali się nami lekarze i pielęgniarki w polskich mundurach. Otrzymaliśmy też dobre wyżywienie. Trudno mi sobie przypomnieć, jak długo tam byłem. Pamiętam tylko, że oczyszczono mnie

⁸ W znaczeniu: „ruszaj, ruszaj”, „dawaj, dawaj”.

⁹ PKOS (Polski Komitet Opieki Społecznej)

z insektów, dostałem czystą bieliznę i ubranie, mogłem się umyć i najeść do syta. Po odzyskaniu sił, zabliznieniu się ran, zwolniono nas więźniów po obozie. Było to przypuszczam w końcu sierpnia 1944 r. Otrzymaliśmy na podróż już polskie pieniądze oraz zaświadczenie o pobycie w obozie koncentracyjnym na Majdanku w Lublinie i na leczeniu w Pek. Mogłem wyruszyć szukać swojej rodziny w Polsce. Rodziców i rodzeństwo odnalazłem po półrocznym poszukiwaniu w powiecie Opatów we wsi Mikułowice u starszego brata Bolesława. W poszukiwaniu miejsca osadzenia i domu moja duża rodzina, rodzice z siostrą Heleną i ja oraz trzej bracia: Józef, Władysław i Stanisław z rodzinami, znalazła przystań na Żuławach we wsi Bystrze koło Tczewa, w opuszczonych przez Niemców domach i gospodarstwach rolnych.

Pragnę jeszcze wspomnieć o moich braciach, zaczynając od najstarszego, Józefa, (ur. w 1900 r.), który był policjantem w Warszawie, ochotnikiem w legionach po I wojnie światowej i w 1920 r. Ożenił się, miał dwóch synów. Jako powstaniec warszawski „Olaf” działał w kontrwywiadzie (Kedyw). Brał czynny udział w zdobyciu PAST-y¹⁰. Przeżył powstanie z żoną i synami Zbigniewem i Tadeuszem (teściowa brata zginęła w bombardowaniu, pochodziła z Sahrynia, powiat Hrubieszów). Brat Józef umówił się z żoną Anną, że jeśli przeżyją powstanie, spotkają się w Mikułowicach u brata Bolesława (ur. w 1901 r.). Żona Bolesława była spokrewniona z generałem Kamińskim¹¹. Bolesław spotykał się z nim w celach konspiracyjnych przy okazjach rodzinnych odwiedzin. Bratowa Anna z synami i ocalałymi w powstaniu kobietami z dziećmi kierowani byli do obozu kobiecego w Pruszkowie koło Warszawy. Przy bramie obozu na płacz i prośbę Niemiec zwolnił ją i nakazał szybko uciekać. Z Warszawy przez wiele dni i nocy różnymi środkami komunikacji i różnymi drogami dotarła po wielu trudach do brata swego męża, Bolesława, w Mikułowicach.

¹⁰ PAST-a – budynek Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej, pierwszy warszawski wysokościowiec. Został zdobyty przez powstańców 20 sierpnia 1944 r.

¹¹ Franciszek Wawrzyniec Kamiński (1902-2000) – działacz ruchu ludowego i komendant główny Batalionów Chłopskich, który urodził się w Mikułowicach, a po wojnie był generałem Wojska Polskiego.

Po złożeniu broni przez powstańców, jako jeńcy zostali załadowani do wagonów towarowych w celu przewiezienia do obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec. Brat Józef z dwoma kolegami w czasie postoju w Częstochowie wyrwali deski w wagonie i uciekli na wolność. Takim to cudem po wielu trudach brat Józef dotarł do swego brata Bolesława i rodzina szczęśliwie się spotkała. A następnie wszyscy przenieśli się na Żuławy do Bystrza razem ze mną, moimi rodzicami i starszymi braćmi z rodzinami. Brat Władysław (ur. w 1906 r.) walczył na pierwszej linii frontu w 1939 r., ranny dostał się do niewoli niemieckiej i po roku wrócił do rodziny w Dąbrowie, a potem z rodzicami i braćmi osiedlił się we wsi Bystrze koło Tczewa. Tak więc najstarszy brat Józef walczył w powstaniu warszawskim, czwarty z kolei brat Franciszek i ja najmłodszy byliśmy żołnierzami BCh oddział „Rysia”, biorąc czynny udział w obronie naszej Ojczyzny. Moi rodzice, starsi bracia i siostry już dawno nie żyją. Opatrzność Boża dała im po wielu trudach i nieszczęściach długie życie. Zostawili po sobie dzieci i wnuki, oprócz mego brata Franciszka, który zginął w wieku 26 lat w wielkiej bitwie partyzanckiej pod Osuchami na Zamojszczyźnie. Zostałem ja najmłodszy z rodzeństwa. Przeżyłem piekło wojny i okrucieństwa. Przez 20 lat nie wspominałem o losach swojej rodziny i własnych przeżyciach – chciałem zapomnieć. Nie miałem takich możliwości korzystania z radości dorastania, nauki, jaką mają młodzi ludzie w wolnej Polsce. To tak w skrócie opisałem – opowiedziałem swoje przeżycia z mojej młodości. A na starość te wspomnienia powodują ciągły stres i wzruszenie, jak to wszystko, co było, dało się przeżyć i dożyć mojego wieku. Oby nigdy więcej to się nie zdarzyło.

Wspomnień wysłuchała i spisała: żona Anna Słomczewska-Otręba
Redakcja tekstu i przypisy: Agnieszka Pawłowska-Kubik i Maria Działo



Dom rodzinny Otrębów w Zawadzie k/Ożarówa.



Zdjęcie rodzinne, nauczyciel mgr inż. Henryk Otręba w Technikum Rolniczym w Gródkach k/Działdowa. Żona Leokadia, dzieci: Danuta, Ryszard, Janusz.



Grób Jana Otręby „Dęba” (stryjeczny brat Henryka Otręby),
dowódcy plutonu z oddziału „Rysia”, poległ 25 czerwca 1944 r.



Henryk Otręba „Żuk” przy grobie starszego brata Francisza Otręby „Orkana”
(zginął 25 czerwca 1944 r.).



Henryk Otręba z wnuczką Adrianną.



Cmentarz w Osuchach - Henryk Otręba z synem Januszem.



Henryk Otręba z Tomaszem Brytanem (członkiem grupy rekonstrukcyjnej),
na uroczystościach w Osuchach 24 czerwca 2004 r.

„Oczy i uszy” I Rejonu i Obwodu AK Biłgoraj

Takim mianem określani byli wywiadowcy I Rejonu AK Biłgoraj, którymi sprawnie kierował oficer wywiadu Michał Kochmański „Gryf”, „Żbik”. Byli to: Jan Kochmański „Kruk” (ojciec „Gryfa”), Adolf Kalczyński „Negus”, bracia Jan i Bolesław Łońscy, Edward Buczek „Polak”, Jan Sagan, Stanisław Parnicki „Amor”¹. Była to służba bardzo trudna, wymagająca inteligencji, ogromnej odpowiedzialności i odwagi. Wywiadowcy musieli się wykazywać cierpliwością, spostrzegawczością i umiejętnością samodzielnego podejmowania szybkiej decyzji w sytuacjach nietypowych. Żyli w ciągłym zagrożeniu, o wiele bardziej narażeni na niebezpieczeństwo utraty życia niż partyzanci z leśnych oddziałów bojowych, którzy ryzykowali tylko wtedy, gdy szli na akcję. Zbierane przez wywiad informacje pozwalały trafnie oceniać sytuację, odpowiednio przygotować akcje bojowo – dywersyjne. Niejednokrotnie w porę dostarczony meldunek wywiadu decydował o życiu lub śmierci wielu ludzi. To wywiadowcy bacznie obserwowali poczynania wroga, aby na tej podstawie ocenić stopień zagrożenia terenu i podjąć odpowiednie kroki. Dostarczali informacji o ważnych transportach, wskazywali gdzie warto przeprowadzić akcje sabotażowo – dywersyjne z jak najmniejszymi stratami. Rozpracowywali szczególnie niebezpiecznych konfidentów, sporządzali plany sytuacyjne obiektów i terenów przewidzianych do przeprowadzenia akcji. Do osiągnięć pracy biłgorajskiego wywiadu należało wiele skutecznych akcji zbrojnych, przeprowadzonych przez oddziały partyzanckie m.in.: dwukrotne uwolnienie więźniów z biłgorajskiego więzienia², likwidacja gestapowców takich jak

¹ Z. Książek, *Z dziejów partyzanckich wspomnień Armii Krajowej 1939 – 1944*, Warszawa, s. 28.

² S. Mazur, *Wspomnienia z tamtych lat, Biłgoraj 1997*, s. 30.

Stanisław Mrozik, Stanisław Majewski, likwidacja konfidentów m.in. Artura Ostaszewskiego³, dwukrotna akcja aprowizacyjna na majątek Różnówka w Biłgoraju⁴, ostrzeganie ludności przed aresztowaniami i wywózką na roboty do Niemiec. Zdobywane przez wywiad informacje o ruchach wojsk niemieckich i ich natężeniu miały ogromne znaczenie nie tylko bezpośrednio dla swojego terenu, ale przede wszystkim dla Komendy Głównej AK i naszych aliantów, zwłaszcza po najeździe Niemiec na Związek Radziecki.

Michał Kochmański „Gryf”, „Żbik”, syn Jana i Heleny urodził się 27 lutego 1916 r. w w Elizawetgradzie (obecnie Kirowograd na Ukrainie). W 1920 r. rodzice postanowili wrócić do Biłgoraja i tu w 1931 r. ukończył siedmioklasową Szkołę Powszechną. Następnie uczęszczał do Szkoły Elektrotechnicznej we Lwowie, którą ukończył w 1934 r. Bezpośrednio po zakończeniu edukacji znalazł zatrudnienie zgodnie z wyuczonym zawodem w Elektrowni w Biłgoraju, gdzie pracował do momentu powołania do czynnej służby wojskowej. Służbę tę rozpoczął 5 maja 1937 r. w Marynarce Wojennej w Gdyni na jednostkach morskich⁵. Michał Kochmański Został przydzielony do Dywizjonu Traulerów na okręcie „Rybitwa” jako elektrotechnik. Okręt ten był przystosowany do zadań patrolowych, eskortowych i zwalczania okrętów podwodnych. Służył także do oczyszczania akwenów z min morskich i dlatego nazywany był minowcem. Od 10 lutego 1938 r. otrzymał przydział na okręt „Gryf”. Tutaj został awansowany na starszego marynarza - elektrotechnika. Kolejny przydział nastąpił 10 czerwca 1938 r. Tym razem do Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku na kurs pilotażu do 5 pl w Lidzie. W dniu 15 maja 1939 r. otrzymał awans na stopień mata. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej rozkazem z dnia 7 sierpnia 1939 r. dostał przydział na ORP „Gryf”, największą jednostkę bojową Marynarki Wojennej RP⁶. Michał Kochmański brał czynny udział

³ J. Markiewicz, *Dzieje najnowsze i współczesne (1918 – 1978)*. [w:] *Dzieje Biłgoraja*, Lublin 1985, s. 249.

⁴ K. Pacyk, *Pamiętnik Kazimierza Pacyka „Groma” komendanta placówki VII AK w Rejonie Biłgoraj w latach 1939 – 1944* [w:] *Zeszyt Osuchowski*, t.15, Osuchy 2018, s. 4.

⁵ Dane z życiorysu sporządzonego przez Michała Kochmańskiego.

⁶ Informacje z książeczki wojskowej o przebiegu służby.

w obronie polskiego wybrzeża. W chwili rozpoczęcia II wojny ORP „Gryf” cumował w basenie Portu Wojennego na Oksywiu. Jego pierwszym zadaniem było postawienie zagrody minowej na linii Hel-Gdynia w ramach operacji o kryptonimie „Rurka”. Oslaniały go trałowce, kanonierki „Generał Haller” i „Komendant Piłsudski”, a także niszczyciel „Wicher”. Zamiar ten udaremniły bombowce Luftwaffe, które zmusiły polskie jednostki do bitwy powietrzno-morskiej. Bombowce niemieckie skupiły się głównie na „Gryfie” i w wyniku ich działań nastąpiły uszkodzenia konstrukcji okrętu, m.in. urządzenia sterowego. „Gryf” miał również straty w załodze i w tej sytuacji okręt zawinął do portu helskiego, aby odstawić na ląd poległych i rannych. We wczesnych godzinach rannych 3 września dwa niemieckie niszczyciele: „Leberecht Maass” i „Wolfgang Zenker” zaatakowały Hel. Walkę z nimi podjęły przebywające w porcie okręty „Gryf” i „Wicher” wspierane przez artylerię. Zmusiły wroga do odwrotu, ale ucierpiał też „Gryf”. Miał uszkodzony lewy silnik, zniszczone jedno z działek przeciwlotniczych i kolejne straty w ludziach. Około 9.00 rano rozpoczął się nalot na port helski. W jego wyniku oba nasze okręty „Gryf” i „Wicher” zostały zniszczone i nie były już zdolne do walki. Pozostałe przy życiu załogi ewakuowano na ląd. Udało się z częściowo zatopionego „Gryfa” przetransportować na brzeg trzy armaty, z których dzielni marynarze nadal ostrzeliwali atakującego wroga, aż do momentu kapitulacji Helu 2 października 1939 r. Wówczas obsada zniszczyła armaty⁷. Ranny Michał Kochmański wraz z całą załogą trafił do niewoli. Umieszczono go na pobieżne, krótkotrwałe leczenie w niemieckim szpitalu w Guden, a następnie przetransportowano do obozu jenieckiego Nr III A w Luckenwaldzie⁸. Wraz z kolegą Janem Pacykiem⁹, który służył na niszczycielu „Wicher” uciekł z niewoli i 7 stycznia 1941 r. dotarł do Biłgoraja jako inwalida

⁷ A. Pastorek, Ostatnia walka „Gryfa” i „Wichra” Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej.

⁸ Dane z życiorysu sporządzonego przez Michała Kochmańskiego.

⁹ W konspiracji przyjął pseudonimy „Wicher”, „Burza”. W dniu 21 grudnia 1943 r. został aresztowany wraz z ojcem i trzema braćmi przez biłgorajskie gestapo, a następnie zamordowany na Rotundzie w Zamościu 21 stycznia 1944 r.; K. Pacyk, op. cit., s. 4.

wojenny¹⁰. Jeszcze tego samego miesiąca wstąpił do ZWZ – PZP, ostatecznie przemianowanego na AK. W konspiracji posługiwał się pseudonimami „Żbik” i „Gryf”. Jako szef wywiadu Rejonu AK Biłgoraj sprawnie i skutecznie kierował biłgorajskim ośrodkiem wywiadowczym. Precyzyjnie opracował plany kilku akcji zbrojnych, a w kilku osobiście brał udział jako rozprawdzający na stanowiska. Podczas jednej z takich akcji został ranny. Otrzymał postrzał w dłoń i stracił palec. Przykładem może też być dwukrotna akcja aprowizacyjna na administrowany przez Niemców majątek Różnówka w Biłgoraju¹¹, czy likwidacja groźnego konfidenta gestapo Artura Ostaszewskiego¹², czy rozpracowanie innego konfidenta Michała R¹³. Za gestapowcem Colbem, zbrodniarzem wojennym biłgorajscy wywiadowcy z „Gryfem” na czele ruszyli w pościg aż do Częstochowy. Niestety ten przebiegły kat polskiej ludności kolejny raz zdołał umknąć przed każącą ręką biłgorajskiego podziemia¹⁴. Wraz ze swoim ojcem Janem Kochmańskim prowadził w miarę regularny nasłuch radiowy sporządzając notatki do prasy podziemnej Obwodu AK Biłgoraj. Po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej angażował się w tworzenie organów władzy tj. Delegatury swojego miasta. Za swoją ofiarną walkę o wolną i niepodległą Polskę został aresztowany 14 sierpnia 1944 r. przez NKWD i UB w Biłgoraju. Podczas aresztowania funkcjonariusze UB dokonali bezprawnego zajęcia mienia osobistego znajdującego się w mieszkaniu o wartości 35 tys. 802 zł, którego nigdy nie zwrócili. Początkowo osadzono go w więzieniu w Biłgoraju i poddano intensywnemu śledztwu. Następnie wraz z innymi żołnierzami AK i przedstawicielami Delegatury został przetransportowany do byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku w Lublinie, a stamtąd 28 sierpnia 1944 r. wywieziony do obozu na terytorium byłego Związku Radzieckiego. Przetrzymywany był bezprawnie, bez wyroku sądowego

¹⁰ Ibidem, s.5.

¹¹ Ibidem, s. 47.

¹² J. Markiewicz, op. cit., s. 249.

¹³ S. Mazur, op. cit., s.22.

¹⁴ K. Pacyk, op. cit., s.68.

w obozie nr 176 w Diagilewie koło Riazania¹⁵. Miał wtedy 28 lat i był w pełni sił. Życie w obozie było bardzo ciężkie, uwłaczające ludzkiej godności. Więźniowie musieli sami wybudować sobie ziemianki, aby nie spać pod gołym niebem. Za posłanie służyły im zwykłe deski, bez jakiegokolwiek pościeli. Wyżywienie jakie otrzymywali było bardzo skąpe. Głodowe racje żywnościowe skazańców były dodatkowo ograbiane przez pilnujących ich nadzorców. Podstawę wyżywienia stanowiła zupa z lebiody i brukiew. Chleb był rzadkością i w ograniczonych ilościach. Koszmarne warunki higieniczne: brak bielizny i ubrań na zmianę, możliwości normalnego mycia się i kąpieli, czy też prania odzieży spowodowały plagę dokuczliwych insektów. Więźniowie nie mieli odpowiednich ubrań i obuwia na zimę, ponieważ aresztowano ich latem nie pozwalając zabrać żadnych bagaży. To wszystko stało się powodem licznych chorób panujących w obozie m. in. szkorbutu, zapalenia płuc, chorób przewodu pokarmowego, skórnych i zakaźnych¹⁶. Dla Michała Kochmańskiego ta gehenna trwała ponad trzy lata. Do Polski dotarł 27 października 1947 r. i zamieszkał w swoim rodzinnym mieście Biłgoraju. W chwili aresztowania i deportacji był młodym, silnym i pełnym życia mężczyzną liczącym 28 lat. Powrócił schorowany i sponiewierany strzępek człowieka. W Biłgoraju również nie zaznał spokoju, ciągle nękany przez funkcjonariuszy UB i władzę ludową. Robiono mu ogromne trudności w uzyskaniu zatrudnienia mimo, że pracownicy z jego kwalifikacjami zawodowymi byli wówczas bardzo potrzebni. Początkowo pracował jako brakarz drzewny. W utworzonym w 1950 r. stałym kinie „Związkowiec” uzyskał stanowisko kierownika tej placówki i pracował w nim do 1953 r. W 1954 roku ożenił się ze Stefanią Staroniewską. Kolejnym jego miejscem pracy była Włosiankarska Spółdzielnia Pracy w Biłgoraju¹⁷. W 1957 r. powstała w Biłgoraju Spółdzielnia Inwalidów „Promień”, której ideą było stworzenie stanowisk pracy ludziom kalekim.

¹⁵ Dane z życiorysu sporządzonego przez Michała Kochmańskiego.

¹⁶ Zob. s. 46 niniejszej pracy.

¹⁷ Dane z życiorysu sporządzonego przez Jana Kochmańskiego.

Jej współorganizatorem i pierwszym prezesem był Michał Kochmański¹⁸. Zmarł 13 sierpnia 1971 r. w wieku zaledwie 55 lat na raka płuc. Za zasługi w walce o wolną i niepodległą Polskę otrzymał następujące odznaczenia: Dwukrotnie Krzyż Partyzancki (1957 r. i 1959 r.), Medal Zwycięstwa i Wolności (1957 r.), Odznakę Grunwaldzką (1957 r.), Krzyż Grunwaldu (1963 r.), Krzyż Walecznych (1964 r.), Złoty Krzyż Zasługi (1969 r.), Zasłużony dla Lubelszczyzny (1970 r.)¹⁹

Jan Kochmański, syn Michała i Franciszki z domu Jarosławskiej urodził się 27 stycznia 1889 r. w Elizawetgradzie (obecnie Kirowograd na Ukrainie). Tu ukończył Szkołę Powszechną i rozpoczął naukę w ośmioklasowym Gimnazjum Państwowym. Niestety z przyczyn materialnych musiał zakończyć edukację szkolną po szóstej klasie i w 1903 roku był zmuszony do odbycia praktyki ślusarskiej w fabryce mechanicznej, w której następnie pracował jako ślusarz do roku 1920. W maju 1921 roku wrócił z rodziną do Biłgoraja, gdzie wkrótce otrzymał posadę technika szacunkowego w Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych na powiat biłgorajski. Od roku 1928 do 1931 pracował w Powiatowej Hurtowni „Społem” w Biłgoraju. W latach 1932 - 1935 był inkasentem PZU w Biłgoraju. Od roku 1936 do 1939 pracował jako inkasent w Zarządzie Miejskim w Biłgoraju. W czasie okupacji niemieckiej prowadził wytwórnię wód gazowanych²⁰. W listopadzie 1939 r. jako jeden z pierwszych wstąpił w szeregi SZP-ZWZ, później przemianowanego w Armię Krajową²¹. Przez cały okres okupacji niemieckiej był aktywnym wywiadowcą I Rejonu AK Biłgoraj²². Po wyzwoleniu Biłgoraja spod okupacji niemieckiej ofiarnie zaangażował się w tworzenie struktur władzy z ramienia Delegatury Rządu RP. Był jednym z tych, którzy 24 lipca 1944 r. witali uroczyście na rogatkach miasta delegata rządu RP

¹⁸ J. Markiewicz, op. cit., s.279.

¹⁹ Na podstawie legitymacji.

²⁰ Dane z życiorysu sporządzonego przez Jana Kochmańskiego.

²¹ J. Markiewicz, op. cit., s.248.

²² Z. Książek, op. cit., s.198.

na powiat biłgorajski Bronisława Mazurka „Borowego”. Sam został też delegatem Delegatury miejskiej. Niestety cały ten wysiłek udaremnił sowiecki terror. Nastąpiła nowa okupacja, a wraz z nią prześladowania żołnierzy AK i przedstawicieli Delegatury. Wkrótce Jan Kochmański wraz wieloma innymi żołnierzami AK został aresztowany przez NKWD i UB i osadzony w biłgorajskim więzieniu, skąd 28 stycznia 1945 r. uwolnił go oddział AK dowodzony przez Konrada Bartoszewskiego „Wira”²³. W roku 1946 podjął pracę kancelisty i kasjera w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym obwód Zamość. W roku 1948 został przyjęty do Wydziału Powiatowego w Biłgoraju na budowę cegielni w charakterze kancelisty, gdzie pracował do chwili przejścia cegielni przez Biłgorajskie Zakłady Terenowego Przemysłu Materiałów Budowlanych²⁴.

Podobny los w powojennej Polsce spotkał dwóch innych wywiadowców I Rejonu AK Biłgoraj, Adolfa Kalczyńskiego „Negusa”²⁵ i Stanisława Parnickiego „Amora”²⁶. Oni także zostali aresztowani za przynależność do AK i osadzeni w więzieniu w Biłgoraju. Z biłgorajskich kazamatów uwolnił ich 28 stycznia 1945 r. oddział AK Konrada Bartoszewskiego „Wira”. Adolfa Kalczyńskiego „Negusa” wywieziono do obozu w głąb Związku Radzieckiego.

W maju 1944 r. gestapo aresztowało Jana Łońskiego i jego brata Bolesława, synów Wojciecha i Jadwigi z domu Piwkowskiej. Obaj urodzili się w Irkucku i byli mieszkańcami Biłgoraja. Bolesław miał zaledwie 25 lat. Działał w Szarych Szeregach (ćwik, drużynowy po próbie). Był żołnierzem AK w stopniu plutonowego. Starszy od niego Jan miał 28 lat. W harcerstwie osiągnął stopień podharcymistrza i pełnił funkcję Dowódcy drużyny Szarych Szeregów w Biłgoraju. Jako członek ZWZ i żołnierz AK dosłużył się stopnia plutonowego podchorążego. Po okrutnych torturach podczas przesłuchań

²³ J. Markiewicz, op. cit., s. 264.

²⁴ Dane z życiorysu sporządzonego przez Jana Kochmańskiego.

²⁵ Z. Książek, op. cit., s. 28.

²⁶ S. Mazur, op. cit., s.167.

w gestapo, obydwu zesłano do obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdzie ponieśli śmierć 21 lipca 1944 roku²⁷.

Edward Buczek „Polak”, syn Franciszka i Marianny z Sasków urodził się 21 listopada 1906 r. w Wójczy na Kielecczyźnie, jako jedno z siedmiorga dzieci. Jego ojciec był organistą m.in. w kolegiacie wiślickiej. Edward po ukończeniu Szkoły Powszechnej uczył się w Realnym Gimnazjum w Pińczowie. Po zakończeniu I wojny światowej zmarł mu ojciec podczas epidemii tyfusu w 1919 r. i dlatego musiał przerwać naukę. W wieku 19 lat podjął praktykę w zakładzie fotograficznym Milewskiego w Mławie, a następnie pracował jako czeladnik w zakładzie fotograficznym Monetza w Nowym Targu i w Brzesku koło Krakowa. W 1931 r. przyjechał do Biłgoraja i znalazł zatrudnienie w cieszącym się dużą popularnością zakładzie fotograficznym Jana Brodowskiego. Poznał tutaj Jadwigę Szubartowicz, z którą ożenił się 27 lipca 1932 r. W dwa lata później wyjechał z rodziną do Ciechanowa. Egzamin czeladniczy w zawodzie fotograficznym zaliczył w lutym 1935 r. w Izbie Rzemieślniczej we Włocławku. W Ciechanowie założył przedsiębiorstwo pod nazwą „Fotografowanie uliczne”, a potem otworzył własny zakład „Fotofilm”. W dniu 31 sierpnia 1939 r. otrzymał zaświadczenie rejestracyjne potwierdzające jego uprawnienia mistrza fotograficznego i natychmiast wyjechał z żoną i sześcioletnią córką Basią do Biłgoraja, gdzie po krótkim okresie pracy u Jana Brodowskiego, założył własny zakład fotograficzny. Od początku okupacji związany był z biłgorajskim ośrodkiem wywiadu, kierowanym przez Michała Kochmańskiego „Żbika”, „Gryfa”. Robił fotokopie wyniesionych potajemnie z niemieckiej policji kryminalnej dokumentów ważnych dla organizacji podziemnej i kopie zdjęć jakie przynosili do wywołania Niemcy²⁸. U niego też robiono fotografie do „lewych papierów”. Edward Buczek był jedynym zaprzysiężonym fotografem Armii Krajowej na tym terenie. Powstała dzięki temu niezwykła, bogata kolekcja doskonałej jakości zdjęć z życia obozowego

²⁷ J. Markiewicz, op. cit., s. 354.

²⁸ S. Mazur, op. cit., s. 124.

oddziałów partyzanckich, głównie z obozowiska oddziału Konrada Bartoszewskiego „Wira”. Wykonał także serię zdjęć dokumentujących uroczystość z otwarcia Szpitala Leśnego „665” Obwodu AK Biłgoraj. Po zakończeniu wojny musiał się ukrywać pod fałszywymi dokumentami, gdyż poszukiwał go Urząd Bezpieczeństwa i groziło mu aresztowanie. Wyjechał wraz z rodziną z Biłgoraja i tułał się po całym kraju, aż w końcu zamieszkał ponownie w Ciechanowie, prowadząc tu zakład fotograficzny. W 1952 r. Edward Buczek wyjechał z Ciechanowa i zatrudnił się jako fotograf w Katedrze Archeologii Polski Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadził tam także zajęcia z fotografii ze studentami. Zmarł w Warszawie w 1983 r., ale zgodnie z jego ostatnią wolą pochowano go obok żony w Biłgoraju²⁹.



Od lewej: Michał Kochmański „Gryf”
i Czesław Ludwik „Opal”.

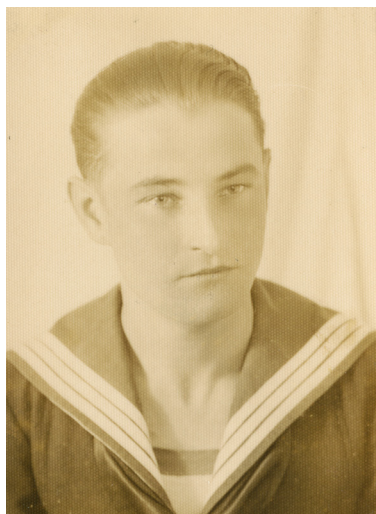


Jan Kochamański „Kruk” (pierwszy
z prawej) przed wytwórnią wód
gazowanych w Biłgoraju.

²⁹ Z relacji ustnej Barbary Buczek-Plachtowej, nieżyjącej już córki Edwarda Buczka.



Michał Kochamński
w wieku szkolnym.



Michał Kochamński
podczas służby wojskowej.



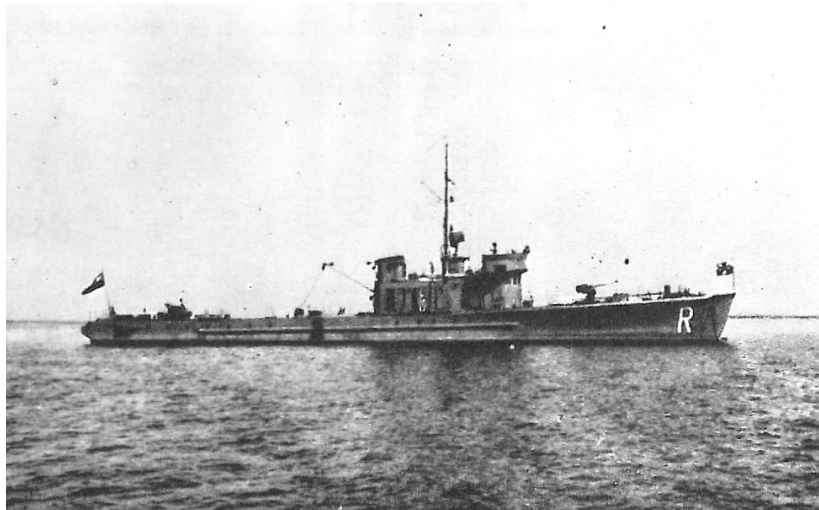
Adolf Kalczyński „Negus”.



Jan Kochamński „Kruk”.



Od lewej: Adolf Kalczyński „Negus” i Czesław Ludwik „Opal”.



ORP „Rybitwa” - pierwsza jednostka morska, na której służył Michał Kochamański



ORP „Gryf” - na tym okręcie Michał Kochmański walczył
w obronie polskiego wybrzeża.



Wrak tonącego okrętu wojennego ORP „Gryf”.

Adam Laszko
ps. Lech Dla córki Jadzi

**Z pracy konspiracyjnej
w szeregach Armii Krajowej
w okresie okupacji niemieckiej
w latach 1939 - 1944**

Pierwszego września 1939 r. napad zbrojny Niemiec hitlerowskich na Polskę i wybuch II wojny światowej zastał mnie w służbie w Policji Państwowej. Byłem wówczas Komendantem Posterunku we Frampolu w stopniu przodownika (sierżanta). Armia polska nie mogła powstrzymać naporu niemieckiego i zmuszona była wycofać się na tereny wschodniej Polski. W związku z tym władze powiatowe zarządziły ewakuację, między innymi i policji z Biłgoraja, za rzekę Bug. Na skutek takiego zarządzenia w dniu 12 września 1939 r. furmanką wraz z innymi policjantami wyjechałem z Frampola i po paru dniach podróży znalazłem się wśród małej grupy ludzi, którzy również jak ja wycofali się z centralnych terenów Polski. Między innymi dołączył do nas oficer Armii Polskiej w stopniu porucznika i ten oznajmił nam, że ze wschodu wkroczyła na tereny Polski armia sowiecka, która w szybkim tempie posuwa się w głąb naszego kraju. Wobec takiej sytuacji doszliśmy do przekonania, że bezpieczniej będzie wrócić na tereny zajęte przez Niemców, niż dostać się do rąk sowieckich. Wszyscy przekroczyliśmy z powrotem Bug i każdy z nas udał się w swoje strony. Ja wróciłem do Frampola, zabrałem swoją rodzinę i przyjechałem do Biłgoraja, gdzie wprowadziłem się do swojego domu. W nocy 30 września 1939 r. przyszli do mnie, do mieszkania miejscowi komuniści z politrukiem sowieckim. Aresztowali mnie i osadzili w budynku szkolnym, gdzie już było około 100 osób - Polaków z różnych warstw społecznych. Następnego dnia, 1 października, wszystkich aresztowanych dołączono do

grupy żołnierzy z dywizji Koca, wziętych do niewoli przez wojska sowieckie, podczas gdy dywizja ta była w trakcie bitwy z Niemcami. Wojska sowieckie zaszły jej tyły i zabrały ich do niewoli. Miało to miejsce za wsią Dzwola za Frampolem. Całą noc pod silnym konwojem prowadzono nas w stronę Zamościa i gdy zaczęło dniać, tuż za Szczebrzeszynem zrobili nam odpoczynek. Wówczas ludność z pobliskich wiosek przyniosła nam jedzenie - chleb, mleko, co kto mógł. Wykorzystałem to zamieszanie i uciekłem. Znalazłem schronienie u rodziny nauczyciela Rytki w Szczebrzeszynie, gdzie przesiedziałem około tygodnia i dopiero, gdy wojska sowieckie wycofały się z powrotem za Bug powróciłem do domu w Biłgoraja.

W niedługim czasie, w październiku 1939 r. przychodzili do mnie żandarmi niemieccy, w obu wypadkach po dwóch i w sposób kategoryczny żądali, bym ponownie zgłosił się do służby w policji i objął funkcję komendanta posterunku we Frampolu. Nie było to łatwe z mojej strony powziąć decyzję. Uważałem, że policja na służbie okupanta niemieckiego będzie używana przez niego przeciwko narodowi polskiemu, a to będzie równoznaczne ze zdradą Polski. Z drugiej strony musiałem się liczyć z tym, że nieusłuchanie nakazu okupanta może pociągnąć za sobą aresztowanie, co równałoby się śmierci. Wobec tego, że ja do wybuchu wojny nie byłem w porządku z płucami oraz miałem złamaną nogę, wykręciłem się od służby zaświadczeniem lekarskim, wydanym mi przez lekarza Snackiego¹ w Biłgoraju.

Okres okupacji i udział w ruchu oporu

Po otrząśnięciu się Narodu Polskiego z przygnębienia wskutek pokonania naszej Armii przez dwóch wrogich sąsiadów - z jednej strony Niemców z drugiej Rosji Sowieckiej - duch patriotyczny

¹ Dr Jan Snacki prowadził prywatną praktykę lekarską, w czasie okupacji został mianowany „Kreisarzem” przez centralne władze niemieckie GG w Krakowie.

narodu polskiego nie pozwolił na bierną postawę wobec wroga. Jak na terenie całego kraju, tak samo tutaj poczęły się tworzyć małe grupki organizacji podziemnej, które następnie łączyły się w organizację obejmującą swym zasięgiem cały powiat. Od grudnia 1939 r. za pośrednictwem swych kolegów Antoniego Boryty i Franciszka Wilkosa - obaj sierżanci policji - wszedłem w skład tych początkowo małych grup organizacji podziemnej pod nazwą ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), który w ciągu pięcioletniego okresu okupacji dwukrotnie zmieniał nazwę na PZP, a ostatnio na AK (Armia Krajowa). Dlaczego Armia Krajowa - otóż dlatego, że mieliśmy Armię Polską, walczącą poza granicami Polski na froncie zachodnim.

Początkowo moja praca w organizacji podziemnej polegała na akcji zorganizowanej oraz zbieraniu informacji o osobach współpracujących z gestapo. Wśród ludności polskiej były wyjątki, by ktoś poszedł na współpracę z okupantem. Jedynie Edward Barcz², do wybuchu wojny wicestarosta biłgorajski, Zięba, Grodzki (ojciec), Ochal, Okliński i Wiesiołowski, oddali się na usługi gestapo. Natomiast ludność pochodzenia prawosławnego, podająca się za Ukraińców, w większości zorganizowana w Komitecie Ukraińskim oddała się całkowicie na usługi okupanta. Na czele tego Komitetu Ukraińskiego stał ówczesny rejent Michałowski, jego zięć Kisielewski oraz Darmochwał³.

Na wiosnę 1940 r. gestapo przeprowadziło aresztowania wśród oficerów, którzy we wrześniu 1939 r. uniknęli niewoli niemieckiej lub sowieckiej. Wśród tych osób znalazł się również i komendant Obwodu ZWZ na powiat biłgorajski, Słoma „Spalony”⁴. W związku z tym praca organizacyjna na pewien czas została osłabiona. Dopiero na wiosnę 1941 r. przydzielony został na powiat biłgorajski nowy komendant obwodu posługujący się pseudonimem „Sulima”

² Był także współzałożycielem i prezesem przedwojennego Towarzystwa Sportowego w Biłgoraju

³ Na terenie GG zorganizowano delegatury Ukraińskiego Komitetu Centralnego przy 12 starostwach, w tym w Biłgoraju. W skład biłgorajskiej delegatury weszli m.in. dr Teodor Michałowski, Roman Kisielewski i Włodzimierz Darmochwał

lub „Kosa”⁴ i ten nawiązał ze mną i Wilkosem kontakt. „Kosa” przy naszej pomocy zorganizował od nowa Komendę Obwodu na powiat biłgorajski oraz Komendę Rejonu Biłgoraj. Na czele tego rejonu stanął „Cord” - Józef Steglański. Komendant obwodu „Sulima” poza pracą organizacyjną powierzył mu funkcję wywiadowcy. Późną jesienią 1941 r. Komendanta Obwodu „Sulimę” przeniesiono na takie samo stanowisko do Radzyna, a na powiat biłgorajski przydzielony został major „Kalina” - Markiewicz, który do tej funkcji używał pseudonimu „Ksawery”. Ten, gdy tylko objął swoje stanowisko, powierzył mi funkcję płatnika Komendy Obwodu, lecz pełniłem ją tylko w ciągu zimy 1941/42. Na wiosnę 1942 r. komendant obwodu Markiewicz, nie mogąc znaleźć ochotnika na prowadzenie punktu pocztowego, powierzył mi tę funkcję. Od wiosny 1942 do lipca 1944 r. bez przerwy w zajmowanym przeze mnie jednoizbowym mieszkaniu, bez żadnego zaplecza mieściła się poczta Komendy Obwodu, a od jesieni 1942 r. i poczta Inspektoratu. Należy tu wyjaśnić dlaczego komendant obwodu „Kalina” zarządził zmianę mojej funkcji: przegrodziłem jednoizbowe mieszkanie i powstał mały sklepik, a do sklepu każdy miał wstęp i kurierzy odbierający, i przywożący pocztę przychodzili do mnie tak samo, jak inni kupujący towary. Tak się złożyło, że żaden ze sklepikarzy w Biłgoraju, do których z polecenia komendanta „Kaliny” zwracałem się z prośbą o przyjęcie u siebie poczty, nie zgodził się na taką niebezpieczną pracę.

Do wiosny 1943 r. ruch na punkcie pocztowym nie był tak duży. Przeważnie przyjeżdżali gońcy z poszczególnych rejonów powiatu biłgorajskiego, przywozili pocztę i zabierali ją dla rejonów. Natomiast pocztę pilną wysyłałem swoimi gońcami. Nadmienić należy, że w powiecie biłgorajskim było 5 komend rejonowych, które miały kryptonimy: Józefów - Freblówka, Tarnogród - Powszechniak, Krzeszów - Gimnazjum. Frampol - Liceum i Biłgoraj - Akademia, przesyłana poczta - była tak adresowana.

Od wiosny 1943 r. zorganizowano w lasach biłgorajskich oddziały partyzanckie, było ich na terenie lasów między Biłgorajem

⁴ Stanisław Malecki

i Józefowem 5 - były to oddziały dowodzone przez „Wira”⁵, „Groma”⁶, „Woynę”⁷, „Corda” i „Podkowę”⁸ oraz w lasach na zachód od Biłgoraja dwa oddziały tj. „Lancy”⁹ i „Ojca Jana”¹⁰. Kiedy oddziały partyzanckie wzmogły swoją akcję przeciw okupantowi, wówczas ruch na pocztce i praca bardzo się powiększyły i wtedy zaszła konieczność zwiększenia ilości gońców, gdyż dotychczasowi gońcy Stanisław Mazur i Ryszard Radej nie mogli podołać obsłudze poczty.

W tym czasie dotychczasowy Komendant Obwodu „Kalina” - Markiewicz przeniesiony został na stanowisko inspektora, a na Jego miejsce przydzielony został „Orsza” - Józef Gniewkowski kpt., i ten polecił mi zorganizować większą ilość gońców - sekcję. Do tego celu najlepiej nadawali się młodzi chłopcy ze względu na ich zapał do walki z wrogiem oraz zdolność do szybkiego poruszania się w terenie na rowerach. Kandydatów na gońców było wielu. Jednak wybór nie był łatwy, gdyż chodziło mi o dobór takich, którzy dawali gwarancję dyskrecji, byliby odporni, w razie wpadki, na tortury śledztwa, a z tym ostatnim trzeba było się uczyć.

Ruchu jaki u mnie w sklepie panował w związku z prowadzonym punktem pocztowym, nie udało mi się ukryć przed moim synem, Zbyszkciem i trudno mi się dziwić, że starałem się go oszczędzić, przy tym brał lekcje w tajnym komplecie w zakresie szkoły średniej. Praca kuriera, który codziennie był wysyłany w teren z pocztą, a niejednokrotnie i z bronią, była bardzo niebezpieczna. Z drugiej strony musiałem brać pod uwagę jego zapał do walki z okupantem, że może gdzieś związać się z nieodpowiedzialnymi ludźmi i wpaść w ręce gestapo. Z tych powodów na jego prośbę zgodziłem się na powierzenie mu funkcji gońca. Poza Zbyszkciem, który przybrał pseudonim „Leszek” i Stanisławem Mazurem, o którym wyżej wspomniałem, do sekcji gońców dobrałem: Wacława Kosmałę,

⁵ Konrad Bartoszewski

⁶ Edward Błaszczak

⁷ Adam Haniewicz, poległ w bitwie pod Osuchami w czerwcu 1944 r.

⁸ Tadeusz Kuncewicz

⁹ Bolesław Ostrowski

¹⁰ Franciszek Przysiężniak

Jana Myszaka, który był najmniej czynny oraz Ryszarda Radeja. Do mnie, do punktu pocztowego, przychodził często Jurek Markiewicz, którego ojciec był zmuszony ukrywać się przed aresztowaniem, ponieważ miał wyspę przez kurierkę do Inspektoratu. Za moim pośrednictwem rodzina jego miała z ukrywającym się kontakt korespondencyjny. Wyczułem od Jurka, że chciałby przyjąć pracę kuriera, obawiałem się jednak angażować tak młodego chłopca, gdyż nie miał wówczas jeszcze pełnych 16 lat, a przy tym ojciec jego, zdekonspirowany przez aresztowaną kurierkę Krasulanę¹¹, musiał się ukrywać i nie chciałem sam decydować o tym. Wiosną 1944 r. ojciec jego nadesłał do mnie list, w którym wyraził zgodę na powierzenie Jurkowi funkcji gońca i w ten sposób Jurek wszedł w skład sekcji gońców. Najczęściej używani byli do przewożenia korespondencji i prasy podziemnej, tak do poszczególnych rejonów jak i oddziałów, kurierzy Zbyszek pseud. Leszek oraz Stanisław Mazur pseud. Wrzos, gdyż ci dwaj byli mi zawsze pod ręką. Syn Zbyszek był fikcyjnie zatrudniony w Spółdzielni Rolniczo - Handlowej w Biłgoraju, która nawet przydzieliła mu rower służbowy na wyjazdy z pocztą, zaś Stasio Mazur, pracujący w miejscowej elektrowni, na każde zawołanie opuszczał pracę i wysyłany był w teren. Były wypadki dużego nasilenia pracy, tak że Zbyszek przed południem jeździł z pocztą do Inspektoratu w Zwierzyńcu, a tego samego dnia po południu jechał do komendy rejonu, do Krzeszowa i tego samego dnia wracał do Biłgoraja. Trudno mi pisać hymny pochwalne pod jego adresem tj. syna Zbyszka, jednakże nie piszę tego z jakąś myślą o uzyskaniu nagrody lub coś w tym rodzaju, lecz dla własnej pamięci i stwierdzam, że był to jeden z najdzielniejszych gońców. Tak samo Stasio Mazur. Nie było dla nich czasu lub miejsca zagrożonego, bez żadnego wahania i ociągania się jechali w tereny najbardziej zagrożone różnymi akcjami represyjnymi i pacyfikacjami ze strony okupanta. Była to funkcja niebezpieczna i wymagała od tych chłopców nadzwyczajnego poświęcenia i odwagi.

¹¹ Maria Krasulancka „Kim”

Stasio Mazur szczęśliwie i bez wypadków dotrwał na swej funkcji do zakończenia działań wojennych, natomiast mój syn Zbyszek miał bardzo niebezpieczny wypadek. W październiku 1943 r. wysłany z pocztą przez „Wyżła”¹² do placówki w Hucie Krzeszowskiej, w lesie na trakcie w pobliżu wsi Banachy natknął się na jadących samochodem osobowym 4 gestapowców. Jeden z nich po zatrzymaniu samochodu wyskoczył z niego, zatrzymał jadącego na rowerze Zbyszka i zażądał do niego ausweisu. Zbyszek wyjął z kieszeni portfel, w którym miał dowód i jednocześnie wiezioną pocztę. Gestapowiec zabrał z rąk Zbyszka portfel i sam wyjął z niego dowód i jednocześnie pocztę. Wówczas Zbyszek nie tracąc zimnej krwi wyrwał z rąk gestapowca zabrany mu portfel z dokumentami i pocztą, w biegu wskoczył na oparty o siebie rower i zanim gestapowiec oprzytomniał z zaskoczenia uskoczył w las. Gestapowcy oddali za nim serię strzałów z broni maszynowej, lecz bezskutecznie - przestrzelili mu jedynie połą kurtki. Goniec Zbyszek w ten sposób uratował swoje życie i wiezioną pocztę, którą dostarczył do miejsca przeznaczenia. Tego samego dnia wieczorem przyjechał do mnie kurier z placówki w Hucie Krzeszowskiej z raportem do komendanta obwodu opisującym wypadek z gońcem Zbyszkiem i zanim przekazałem ten raport komendantowi zacząłem sam go czytać. Gdy doczytałem do tego, że gestapowcy zatrzymali Zbyszka z pocztą, straciłem panowanie nad sobą i ogarnęła mnie straszna rozpacz. Proszę się nie dziwić temu, gdyż był to jedyny mój syn. jeszcze prawie dzieciak, niemający pełnych 17 lat. Nie spodziewałem się, by mógł się zdobyć na tak bohaterski czyn. Z raportem tym natychmiast udałem się do komendanta „Orszy”, który dokładnie przeczytał go i wtedy uspokoiłem się.

Od tej pory Zbyszek został zdekonspirowany i do domu nie mógł wrócić. Został on przez Komendę Rejonu ulokowany w Rejonie Krzeszów, w domu Czartoryskich w Bielinach, w powiecie Nisko. Po kilku miesiącach przeszedł do oddziału partyzanckiego stacjonującego w lasach, w okolicach Huty Krzeszowskiej pod

¹² Edward Bielecki

dowództwem „Lancy”. Przy tym oddziale przechodził kurs podoficerski, który prowadził „Żbik”¹³. Po miesiącu od wyżej opisanego wypadku komendant obwodu „Orsza” w mojej obecności napisał do Komendy Okręgu AK wniosek o nadanie Zbyszkowi odznaczenia Krzyżem Walecznych za wykazaną odwagę i uratowanie poczty.

W miesiącu czerwcu 1944 r., gdy akcje bojowe oddziałów partyzanckich na terenie powiatu biłgorajskiego przybrały dla okupanta niemieckiego groźne rozmiary, ściągnięto z frontu wschodniego wojska niemieckie w sile około trzech dywizji, plus około 1000 Kałmuków rekrutujących się z jeńców rosyjskich pozostających na służbie niemieckiej. Wszczęły one akcję przeciwko oddziałom partyzanckim. W tym celu najprzód okrążyli lasy janowskie i huciańskie po stronie zachodniej od Biłgoraja. Z powodu zagrożenia „Lanca” wycofał się ze swym oddziałem przed zamknięciem przez Niemców okrążenia w kierunku zachodnim. Natomiast „Żbik” ze swoimi kursantami nie wycofał się na czas. Dopiero następnego dnia, kiedy pierścień okrążający lasy był już zamknięty, rozpuścił kursantów, sam ukrył się w dobrze upatrzonej kryjówce, zaś młodzi chłopcy - kursanci prawie wszyscy dostali się w ręce wojsk niemieckich, a następnie zostali przekazani do gestapo. Wśród nich był i Zbyszek - po raz drugi dostał się w ręce Niemców. Widziałem, jak Kałmuki na koniach prowadzili ich przez Biłgoraj. Na kilku furmankach siedzieli aresztowani młodzi chłopcy - kursanci, wiezieni do siedziby gestapo. Wysunąłem się wówczas na chodnik pod jezdnię i poznałem kilku z nich, byli razem ze Zbyszkciem w oddziale „Lancy”. Jednym z nich był Sobieszczański, którego szeptem zapytałem - gdzie Zbyszek? Ten machnął ręką w stronę lasu, z czego zrozumiałem, że zbiegł. Następnego dnia dowiedziałem się więcej szczegółów. Zbyszek był złapany przez Niemców w lesie i razem z nimi wieziony do Biłgoraja, do gestapo, lecz w drodze zbiegł. Uznałem wtedy, że bezpieczeństwo moje i mojej rodziny zostało zagrożone, że gestapowcy będą się mścić

¹³ Michał Bidziński

za syna i dlatego ulotniłem się z Biłgoraja wraz z żoną i pięcioletnią córką Jadzią. We Frampolu znalazłem dla nas odpowiednią kryjówkę, gdzie przesiedziałem miesiąc tj. do dnia 22 lipca 1944 r. - do chwili odwrotu wojsk niemieckich z frontu wschodniego. Szczegółów ucieczki Zbyszka z transportu niemieckiego dowiedziałem się od niego, gdy po dwóch tygodniach mojego pobytu we Frampolu przybył do mnie. Dowiedziałem się wtedy, że był wieziony razem z tymi, których widziałem, gdy ich wieźli Kałmucy przez Biłgoraj, że był on i jeszcze jeden jego kolega ujęty przez Niemców w mundurze polskim. Dlatego rozebrali ich obu prawie do naga, zostawili im tylko kalesony i do transportu obu związali sznurami. Na drodze, w okolicach wsi Banachy konwojenci zrobili im odpoczynek i zdjęli im obu krępujące sznury. Wtedy Zbyszek, niezauważony przez konwojentów, wsunął się pod mały mostek drogowy i to go ocaliło. Była to jego druga ucieczka przed grożącą mu śmiercią. Wszystkich wyłapanych jego kolegów, przywiezionych do Biłgoraja wraz z tymi, których ujęto w lasach na wschód od Biłgoraja, w ogólnej liczbie sześćdziesięciu, gestapowcy w dniu 4 lipca 1944 r. rozstrzelali w lesie pod Rapami k/Biłgoraja. Mało było temu chłopcu Zbyszkowi wyżej opisanych przejść, bo gdy przyszedł do Frampola, przyniósł ze sobą żołnierski chlebak wypełniony granatami ręcznymi i pistoletem. W połowie lipca 1944 r. najechała do Frampola duża ilość wojska niemieckiego, cofającego się z frontu wschodniego. W tym dniu żona mojego znajomego z Kondratów, Jana Łupikasz z gminy Goraj, przyjechała do mnie do Frampola furmanką zaprzęzoną w jednego konia, z propozycją by, mnie zabrać z rodziną do Kondratów. Ja nie zgodziłem się na wyjazd, gdyż widać było po odwrocie Niemców, że już wkrótce wycofają się i będę mógł wrócić do Biłgoraja. Natomiast Zbyszkowi poradziłem, by pojechał do Łupikaszów, bo ich wioska jest oddalona od dróg komunikacyjnych - i tam przeczeka, aż Niemcy się wycofają. Zbyszek zapakował na furmankę pod siedzenie swój chlebak, wypełniony granatami ręcznymi i pistoletem, i ruszył w drogę. Łupikaszowa, gdy zobaczyła zapakowane na furmankę uzbrojenie, nie wsiadła na furmankę mówiąc, że wsiądzie za Frampolem. Gdy Zbyszek

wyjeżdżał z obrębu Frampola, naprzeciwno szkoły zatrzymany został przez żołnierzy niemieckich, którzy zażądali oddania furmanki dla celów ewakuacyjnych. Wówczas zapaleniec najspokojniej w świecie, na oczach Niemców wyjął spod siedzenia furmanki swój chlebak z granatami i pistoletem. Wziął to pod pachę, zostawiając konia z wozem i poszedł sobie pieszo do wsi Kondraty ze swoim uzbrojeniem. Moja praca na punkcie pocztowym, która trwała bez przerwy prawie trzy lata, była nadzwyczaj niebezpieczna. Mieszkanie miałem jednoizbowe i w dodatku ta jedna izba była przegrodzona deskami, gdzie urządziłem sobie sklepik, dla którego nie miałem żadnego zaplecza. Zaznaczam w tym miejscu, że mieszkanie miałem w starej ruderze pożydowskiej, gdyż z mojego własnego Niemcy mnie wysiedlili i urządzili w nim swoje kasyno. Wszystkie możliwe schowki w mieszkaniu i sklepie były zajęte bez przerwy przez korespondencję, prasę, a nawet niejednokrotnie broń i odbiorniki radiowe pochodzące ze zrzutów, przekazywane za pośrednictwem poczty do innych rejonów. Wiele broni krótkiej i amunicji przynosiła do mnie Maria Gąsowska. Tę broń i amunicję przekazałem do Komendy Obwodu.

Wiele osób z organizacji podziemnej prosiło mnie o spotkanie z Komendantem Obwodu „Orszą”, musiałem wtedy iść do „Orszy” i ten wyznaczał im czas i miejsce spotkania. Furmani wysyłani przez oddziały partyzanckie po żywność - o czym byłem uprzedzony przez „Orszę” - zgłaszali się do mnie. Prowadzałem ich pod magazyn ówczesnej Spółdzielni Rolniczo - Handlowej w Biłgoraju, do głównego magazyniera Lewańskiego ps. "Lech" i ten ładował w biały dzień z prowadzonego przez siebie magazynu niemieckiego produkty żywnościowe, które szły do lasu. Poczte z rejonów przywozili gońcy rejonowi, natomiast pocztę z Komendy Obwodu Marian Lenart, po nim Stefan Tusiński „Bogiwon”, a od jesieni 1943 r. Józef Wójcik „Mały” - wówczas zastępca Komendanta Obwodu. Poczte z Inspektoratu przywoził na punkt pocztowy, kolejarz Zenon Trojanowski¹⁴.

¹⁴ „Zenus”, wywiadowca AK Obwodu Biłgoraj, kurier ds. Rejonowego Inspektoratu Zamojskiego

Przekazywanie nadchodzącej poczty do Komendy Obwodu i poszczególnych członków sztabu należało do moich obowiązków, gdyż komendant „Orsza”, z obawy przed dekonspiracją, nie chciał, by mu przekazywać przez gońców. Nasilenie akcji represyjnych, skierowanych przeciw ludności polskiej, czyniło poruszanie się po ulicach Biłgoraja, w szczególności przez mężczyzn, bardzo niebezpiecznym, tym bardziej, gdy chodziło o roznosicieli korespondencji i prasy. Wówczas, żona moja Maria łądowała sobie w koszyk, przeznaczony na zakupy produktów żywnościowych korespondencję i prasę, brała małą, bo zaledwie czteroletnią córeczkę Jadzię na rękę roznosiła tę pocztę po znanych sobie punktach. Tak samo podczas mojej nieobecności odbierała pocztę przyniesioną przez gońców z poszczególnych rejonów. Najbardziej obciążał ją szef wywiadu Komendy Obwodu „Wyżeł” Edward Bielecki, który prawie codziennie przynosił do naszego mieszkania różne swoje notatki wywiadowcze na przechowanie. W czerwcu 1943 r. pani Maria Gąsowska, w porze rannej, przysła do mnie do mieszkania z wiadomością, że Niemcy mają w tym dniu przeprowadzić aresztowania osób podejrzanych o udział w organizacji podziemnej. Zaproponowała mi ukrycie się na strychu w domu Krawczykiewiczów przy ulicy Kościuszki zajęтым w całości przez Niemców pracujących w administracji. Byli oni bez rodzin – „na kawalerkę”. Mieli służącą Polkę - Paluch. W ciągu dnia, poza służącą, w tym domu nie było nikogo z Niemców. Skorzystałem z tej propozycji i natychmiast udałem się tam z panią Gąsowską. Pani Gąsowska i Paluchowa ukryły mnie na strychu, gdyż, jak zapewniała Paluchowa, Niemcy tam nie zachodzili. Gdy wychodziłem z domu, prosiłem żonę, by na wypadek aresztowania jej nie zabierała ze sobą małej Jadzi i zostawiła ją pani Gąsowskiej. Należało się spodziewać, że za męża aresztują żonę lub innych członków rodziny. Po upływie około 15 minut po moim odejściu z domu przyszli do mojego mieszkania żołnierze niemieccy, by mnie aresztować, a gdy mnie nie było, aresztowali żonę. W drodze za druty żona skierowała Jadzię do Gąsowskich, do ich mieszkania. Żona przesiedziała za drutami (był to prowizoryczny

obóz przejściowy) do wieczora, skąd staraniem pani Gąsowskiej została wraz z wielu innymi zwolniona. Ja przesiedziałem na strychu 36 godzin, gdzie o wydarzeniach byłem informowany przez Paluchową i Gąsowską. Po 36 godzinach, gdy się uspokoiło wyszedłem ze swojej kryjówki. Przez dwa tygodnie udawałem chorego i przesiedziałem w szpitalu, gdzie umieścił mnie dyrektor szpitala pan Pojasek i medyk Kopeć ps. Radwan. Po dwóch tygodniach, gdy już okupanci do mnie nie przychodzili, powróciłem do domu do mojej pracy konspiracyjnej.

W 1943 r. kurierka Maria Molasowa¹⁵, przywiozła z Warszawy i zostawiła u mnie korespondencję, pieczętki do wystawiania lewych dowodów, tzw. kenkarty i napisaną przez nią kartkę. Poczta taką odbierał ode mnie zawsze tzw. „Bipista” tj. korespondent Biuletynu na powiat biłgorajski, pan Tadeusz Gumiński „Szyszka”. W tym samym dniu „Szyszka” zgłosił się do punktu pocztowego i odebrał przywiezioną przez kurierkę Molasową pocztę wraz z pozostawioną przez nią notatką. Nie miałem zwyczaju przeglądać i czytać odbieranej poczty poza prasą. Gdy „Szyszka” wyszedł ode mnie i znalazł się koło młyna na Różnówce, natknął się tam na szefa gestapo, osławionego sadystę Kolbe i jeszcze drugiego Niemca leśnika. Usiłowali „Szyszkę” zatrzymać, lecz ten rzucił się do ucieczki i mimo pogoni i ostrzeliwania zdołał zbiec. Następnego dnia „Szyszka” przysłał do mnie list, w którym napisał o przebiegu jego ucieczki i grożącym mi niebezpieczeństwie. Kurierka Molasowa była tak nierozważna, że w napisanej przez nią kartce umieściła moje nazwisko. W grudniu 1943 r. otrzymałem z więzienia w Biłgoraju gryps dla komendanta „Orszy”, napisany przez drugą kurierkę na Warszawę, Marię Piasecką „Żar”, którą gestapowcy aresztowali z wiezioną pocztą w pociągu, w Dęblinie. Więziona kurierka pisała, że już dalej nie wytrzyma zadawanych jej przez gestapo tortur. Oznaczało to, że może się załamać i wydać osoby, z którymi współpracowała. Gryps ten natychmiast przekazałem komendantowi „Orszy”. Po upływie

¹⁵ Kurierka Obwodu Komendy Okręgu Lubelskiego i Komendy Głównej AK.

około dwóch godzin „Radwan” - medyk ze szpitala - przyniósł do mnie truciznę, bym ją przekazał do więzienia dla uwięzionej „Żar”. Była to młoda dziewczyna, która poświęcała swoje życie w walce o wolność Polski i bardzo mi się jej zrobiło żal. Nie miałem sumienia, by podać jej truciznę. Uznałem również, że jest to sprawa zbyt poważna i musi zdecydować Komendant Obwodu. Z tych przyczyn odmówiłem przekazania trucizny, udałem się do „Orszy”, któremu przemówiłem do jego uczuć, sugerowałem również odbicie uwięzionej. Wiadomo było, że siły załogi niemieckiej w Biłgoraju nie były tak duże, a siły pięciu oddziałów partyzanckich, stacjonujących w pobliskich lasach dawały gwarancję udanej akcji na więzienie. Po dwóch lub trzech dniach komendant „Orsza” wydał wywiadowcy „Wyżłowi” rozkaz opracowania planu odbicia kurierki. Taki plan podsunął mu ówczesny dozorca więzienny Jan Cieślak z Biłgoraja. Cieślak wieczorem skończył służbę i wypuścił więzioną „Żar” z celi na podwórze, jak gdyby chodziło o przechadzkę. W tym czasie służbę dozorczy objął Flis - łotr volksdeutsch. Wówczas do furtki więzienia podeszło 6 partyzantów z kobietą, która stanęła przed furtką i przez wziernik poprosiła dozorcę Flisa, by ten przyjął dla więźnia paczkę żywnościową, za tę usługę ofiarowując mu butelkę wódki. Flis dał się na to nabrać. Butelka nie mieściła się przez wziernik, więc musiał odemknąć i uchylić furtkę. To wystarczyło partyzantom, którzy rzucili się na Flisa i obezwładnili go. Zabrali ze sobą uwięzioną „Żar”, a przy tej okazji uciekło także kilku innych więźniów. W ten sposób uratowana została kurierka i jednocześnie uniknięto wyspy.¹⁶ Byli i tacy kurierzy z rejonów, którzy się znaleźli w Biłgoraju z pocztą, gdzie prawie na każdym kroku spotykali się z gestapowcami, żandarmami i szupowcami i tracili ze strachu głowy. Między innymi kurier z rejonu Józefów Jan Kropop. Najbardziej niebezpieczna była prasa podziemna. Prasę tę jak: Biuletyn Rzeczpospolita i inne, odbierałem po kilka kilogramów naraz. Trzeba było ją przechować do czasu rozesłania do poszczególnych rejonów,

¹⁶ S. Mazur, op. cit., s. 31.

a wcześniej podzielić ją na te rejony. Gdy się ją rozłożyło, wykluczone było by szybko ją usunąć na wypadek zagrożenia. Najczęściej musiałem z tą robotą iść na strych, lecz i tam nie było tak bardzo bezpiecznie, gdyż korzystali z tego strychu współlokatorzy. Przez punkt pocztowy przechodziła bardzo duża ilość lewych dowodów osobistych, zwanych „kenkarty”, dla osób zdekonspirowanych i ściganych przez gestapo.

Były częste wypadki. Członek naszej organizacji, Jan Gąsowski, który był wtyczką z ramienia Komendy Obwodu w policji kryminalnej zwanej „Kripo” przynosił do mnie anonimowe donosy pisane przez ludzi podłych, z zemsty na swych sąsiadów. Często donosili o udziale w walce z okupantem. Jeżeli taki donos można było zatrzymać dla celów służbowych, to już on do „Kripo” nie wracał, a z tych, które Gąsowski musiał zwrócić do biura robiono fotokopie. Specem od tej pracy był fotograf Buczek¹⁷. Jan Gąsowski oddawał duże usługi naszej organizacji. Niezależnie od niejednokrotnego dostarczania broni krótkiej i amunicji, przekazywał również bardzo cenne wiadomości o zamierzonych przez gestapo aresztowaniach i akcjach represyjnych w stosunku do ludności polskiej. Letnią porą 1943 r. Gąsowski zameldował mi, że gestapowcy wybierają się do Tereszpola aresztować członka naszej organizacji, komendanta placówki w Tereszpolu - Józwiakowskiego. Natychmiast wysłałem do Józwiakowskiego gońca z ostrzeżeniem. Józwiakowski tego dnia wyszedł z domu i gdy gestapowcy przyjechali do niego, nie zastali go w domu. Następnego dnia zwabiony został przez szpicla do jego domu. Gdy pili wódkę, podjechali gestapowcy i zastrzelili na miejscu Józwiakowskiego i jego żonę. Później szpicla wykryto. Z wyroku sądu konspiracyjnego został zlikwidowany, lecz nim do tego doszło, ludność wsi Tereszpol poniosła duże straty. Za pracę wojskową w konspiracji odznaczony zostałem przez dowództwo Armii Krajowej Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Odznaczenie to zamieszczone zostało w rozkazie Komendy Okręgu Lubelskiego AK Nr 60 z dnia 14.11.1944 r. W ciągu całej, prawie pięcioletniej pracy konspiracyjnej, nie miałem czasu

¹⁷ S. Mazur, op. cit., s. 124.

na zajęcie się prowadzonym przeze mnie sklepikiem spożywczym, zaopatrzeniem tego sklepu w towary i z tego powodu ja i moja rodzina żyliśmy w niedostatku. Dochód z tego sklepu nie dawał dostatecznych środków na utrzymanie. Kilka razy Komendant Obwodu „Orsza”, widząc pustki w sklepie, proponował mi pożyczkę z Komendy Obwodu i za każdym razem odmówiłem przyjęcia. Uważałem to za chęć wynagrodzenia mi za moją pracę, a na to nie chciałem się zgodzić. Moje trudne warunki bytowe pogarszał i ten fakt, że w lipcu 1943 r. Niemcy wyrzucili mnie z własnego domu i przenieśli do domu - rudery pożydowskiej, do jednej izby, którą musiałem przegrodzić, by urządzić sobie w niej sklepik. W swej małej izdebce mogłem umieścić zaledwie łóżko i mały stolik. Gdy myślę o tej pracy z perspektywy czasu - po upływie 22 lat, zadaję sobie pytanie: czy miałem prawo narażać na tak groźne niebezpieczeństwo swoją rodzinę - swoje małoletnie dzieci, którym w razie wykrycia lub wyspy groziła śmierć razem ze mną. Punkt pocztowy, który prowadziłem, dzień i noc był przeładowany korespondencją i prasą, a niejednokrotnie bronią i amunicją. Mieścił się między siedzibami władz okupacyjnych, z jednej strony sąsiadem była policja kryminalna na czele z gestapowcem, z drugiej strony - siedziba żandarmerii. W takich warunkach odbywała się moja praca w ciągu prawie pięciu lat, w warunkach strasznego terroru i uprawianego przez okupanta ludobójstwa. 22 lipca 1944 r., w dniu pełnego odwrotu wojsk niemieckich z frontu wschodniego, powróciłem do Biłgoraja i zaraz po odejściu Niemców zająłem mieszkanie w swoim domu. O ile sobie przypominam, wojska radzieckie wkroczyły do Biłgoraja w nocy z 23 na 24 lipca 1944 r. a wraz z nimi mała grupka w sile około 20 ludzi spod znaku GL - Gwardia Ludowa, którzy pod osłoną tych wojsk, a szczególnie NKWD, zaczęli swoje urzędowanie od rozbrajania żołnierzy Armii Krajowej. Dowództwo AK wydało rozkaz, by nie stawiać oporu wojskom radzieckim i złożyć broń, jak tego od nas żądano. Wówczas NKWD, przy ścisłej współpracy GL, która przybrała nazwę Urząd Bezpieczeństwa, rozpoczęło aresztowania żołnierzy AK.

Ja znalazłem się w pierwszej grupie aresztowanych.

Aresztowany zostałem o świcie 9 sierpnia 1944 r. i tego samego dnia wraz z innymi: Bronisławem Mazurkiem¹⁸, Antonim Bryłą¹⁹, Józefem Sokołowskim²⁰, Leonem Jasielskim²¹ i Gustawem Różyckim²² wywiezieni zostaliśmy do Lublina i osadzeni w piwnicy domu przy ulicy Szopena, wydaje mi się, że pod numerem 18. Tam byłem doprowadzony w nocy z 9 na 10 do biura NKWD, gdzie usiłowano wymusić na mnie, bym podał im nazwiska osób, z którymi współpracowałem w Armii Krajowej. Gdy odmówiłem, enkawudzista powiedział mi, że czeka mnie obostrzony areszt. W nocy z dnia 10 na 11 sierpnia 1944 r. wszystkich aresztowanych w Biłgoraju i na terenie Lublina, razem 14 osób, załadowano na samochód ciężarowy. Nie powiedziano nam, dokąd nas powiozą. Sposób obchodzenia się z nami nie wróżył nic dobrego. Wyprowadzano nas pojedynczo, od drzwi piwnicy do samochodu przejście było obsadzone gęstym szpalerem wojskowych w pozycji na „gotuj broń”. W samochodzie już siedzieli konwojenci na ławkach ustawionych po obu stronach, z „pepeszkami” gotowymi do strzału - było ich ośmiu. Nas, aresztowanych posadzono na podłodze twarzami do przodu. Samochód ruszył i kluczył dłuższy czas zaułkami Lublina, a gdy poczęło się rozwidniać, znaleźliśmy się w jakichś zaroślach za Lublinem. W tych zaroślach samochód zatrzymał się przed świeżo wykopanym dołem i kazano nam wysiąść. Gdy wysiedliśmy, zobaczyliśmy, stojący za naszym samochodem, drugi samochód załadowany wojskiem. Pomyślałem, że tutaj nas rozstrzelają. Było to moje pierwsze wrażenie w obliczu śmierci. Nie myślałem wtedy o sobie, lecz o swoich najbliższych - o dzieciach, kto się nimi zaopiekuje, zajmie się ich wychowaniem i nauką. Tak staliśmy nad tym dołem około 20 minut, po czym załadowano nas z powrotem do samochodu i po paru minutach przewieźli nas na lotnisko w Świdniku.

¹⁸ „Przemysław”, „Borowy”, Delegat Rządu RP Powiatu Biłgoraj.

¹⁹ „Tom”, polski prawnik, działacz ruchu ludowego, komendant Obwodu Biłgoraj Okręgu Lublin BCH, podpułkownik.

²⁰ „Różga”, „Sęk”.

²¹ „Młot”.

²² S. Mazur, op. cit., s. 167.

Gdy ładowali nas do samolotu - był to „Douglas” - wielu z nas pobrało sobie na pamiątkę po trochu ziemi polskiej - było to pożegnanie z Polską, za wolność której walczyliśmy w ciągu pięcioletniej okupacji niemieckiej. Gdy samolot wystartował i przybrał kierunek na wschód, wówczas dopiero zorientowaliśmy się, że wiozą nas do Rosji. Po około trzech godzinach lotu samolot wylądował na lotnisku w Kijowie. Tam podstawiono pod same drzwi samolotu więzienny samochód, na który nas załadowano i przywiezieni zostaliśmy do siedziby NKWD, gdzie osadzono nas w lochach piwnicznych. Następnego dnia narobiliśmy krzyku i zorganizowaliśmy głódówkę na znak protestu za bezpodstawne aresztowanie. Tego samego dnia przyszedł do nas generał z NKWD, który obłudnie zaczął nas zapewniać, że nie jesteśmy aresztowani, lecz tylko jego gośćmi. Zarządził, by nam przyniesiono tytoń, co też zrobili, a do skręcania papierosów dali nam papier z jakichś starych książek. Generał zapewniał nas, że nasza sprawa wkrótce będzie rozpatrzona i będziemy zwolnieni. W krótkim czasie, w trzech transportach przywieźli i osadzili razem z nami w piwnicach jeszcze dwudziestu ośmiu aresztowanych z różnych stron Polski, tak że w sumie było nas 42.

A oto ich nazwiska: Ja, Adam Laszko - Biłgoraj, Ignacy Plata - pow. Biłgoraj, Bronisław Mazurek - Biłgoraj. Antoni Bryła - Kąty, Leon Jasielski - Frampol, Józef Sokołowski - Radzięcín, Gustaw Różycki - Biłgoraj, Stefan Bednarski - Biłgoraj, Julian Czaporowski²³ - Biłgoraj, Marian Haciewicz - Lublin, Janusz Piechocki - Warszawa, Stanisław Pleszczyński - Lublin. Stefan Wendorf - Lublin. Michał Kułakowski - Lublin. Kazimierz Błoński - Lublin. Jan Borowski - Tomaszów Lub., Marian Podborny - Tomaszów Lub., Paweł Hłasko - Tomaszów Lub., Józef Kraiński - Kraśnik, Wacław Żurek - Lublin. Wincenty Jabłoński - Tomaszów Lub., Feliks Świca - Tomaszów Lub., Zenon Woźniakiewicz - Lublin, Władysław Nagórski - Otwock, Hieronim Lambrowski - Warszawa, Leon Judka - Warszawa, Stanisław Dobosz - Palenica, Kazimierz Krupa - Krasnystaw, Aleksander Filipiak - Warszawa, Tomasz Kowalski - Biała Podl., Stanisław Morowski - Biała

²³ „Wrona”.

Podl., Władysław Zieliński - Biała Podl., Antoni Haczyński - Palenica, Bogdan Zaręba - Biała Podl., Marian Trędota - Chełm Lub., Józef Andrzejuk - Radzyń, Bolesław Koseda - Międzyrzecze, Aleksander Hołyst - Lublin, Bronisław Duda - Radzyń, Szczepan Ufnal - Lublin, Czesław Kosowski - Lublin, Władysław Wojciechowski - Puławy.

Po paru dniach pobytu w piwnicach zabrali Ignacego Platę i Stefana Bednarskiego, których jak się po powrocie do Polski dowiedziałem, przywieźli do kraju. Warunki, w jakich przebywaliśmy w tych piwnicach trudne są do opisanie. Okienka małe, czteroszybkowe, górne cokolwiek wystawały nad powierzchnię ulicy. Zabielili je wapnem, by nie widzieć, co się robi na zewnątrz. Ściany zewnętrzne były wilgotne, z jakichś postrzępionych, starych dykt oraz stare, pognite od wilgoci prycze, zapluskwione w tak straszny sposób, że w swoim życiu tego nie spotkałem. Z zabielonymi oknami daliśmy sobie radę, bo za parę dni starliśmy je, mimo zakazu wartowników i mogliśmy pojedynczo oglądać ruch uliczny. Ukrycie nas w piwnicach to kompletna izolacja od świata zewnętrznego. Wobec tego, by izolacja nie była tak kompletna, jak życzyli sobie nasi dozorczy, postanowiliśmy wybić jedną szybę w okienku, pisać kartki o naszym pobycie w tych lochach i wyrzucać na ulicę, licząc na to, że którąś z nich ktoś podniesie z ulicy i przeczyta. Trwało to może tydzień lub dwa, dokąd nie dowiedziano się o tym i postawiono wartowników przed naszym okienkiem. Po upływie około dwóch miesięcy naszego pobytu w piwnicach zachorowałem na malarię. Miałem napady tej choroby co drugi dzień. Dostawałem silnych dreszczy, a po upływie około półtorej godziny przychodziła gorączka sięgająca powyżej 40 stopni. Po upływie około dwóch tygodni zachorował również na malarię mój sąsiad z pryczy Jan Borowski. Tak leżałem w chorobie, na zapluskwionej pryczy, bez jakiegokolwiek pomocy lekarskiej - dziewięć dni. Po dziewięciu dniach, było to w nocy, zwlokłem się z pryczy i zacząłem dobijać się do drzwi, do wartownika, by mnie wypuścić do ustępu, który znajdował się w korytarzu piwnicy. Zanim mi drzwi otworzył, zemdlałem pod tymi drzwiami i koledzy wnieśli mnie na moje legowisko. Wartownik musiał coś o tym wypadku

powiedzieć przełożonym, gdyż po dwu dniach wyprowadzono mnie z piwnicy do jakiejś izby na parterze i tam sprowadzony lekarz wypytał mnie o chorobę. Następnego dnia wartownik przyniósł mi do celi w piwnicy parę tabletek chininy i sporą ilość akrychiny. Po zażyciu tego, po paru dniach zrobiło mi się lepiej i powoli choroba przeszła. W czasie choroby codziennie wołałem i prosiłem o pomoc lekarską, ale pozostawało to bez skutku. W niedługim czasie mój drugi sąsiad z pryczy, Julian Czaporowski, zachorował na tyfus. Po około trzech dniach zabrali go do szpitala i po trzech tygodniach przywieźli go z powrotem do piwnicy. Na tyfus chorował również Jan Borowski. Na malarię chorował i Hłasko. Po około pięciu miesiącach pobytu w piwnicy wszyscy dostaliśmy świerzbu, a na dodatek zaczęły łązić po nas wszy. Prawdopodobnie choroby nasze skłoniły NKWD do zmiany miejsca naszego uwięzienia, gdyż po około sześciomiesięcznym przetrzymywaniu nas w piwnicach przeniesieni zostaliśmy do budynku w innej części Kijowa, w którym specjalnie dla nas zakratowali okna, zabelili je od wewnątrz wapnem i tam nas umieścili. Chociaż był to budynek brudny i zaniedbany to jednak nie można go było porównać z piwnicą. W piwnicach, byliśmy kompletnie izolowani od świata, a przecież w tym czasie jeszcze toczyła się walka i ciekawi byliśmy jej przebiegu, z czym wiązałyśmy pewne nadzieje na nasze uwolnienie. Gdy zostaliśmy przeniesieni do tego ostatniego pomieszczenia, to podczas wyprowadzania nas do ustępów, spotykaliśmy kręcących się żołnierzy i niejeden z nich na prośbę uderł kawałek gazety na skręcenie machorki. Z tych kawałków można było czasem dowiedzieć się o przebiegu wojny. Nie trwało to jednak długo, gdyż NKWD zabroniło żołnierzom dawania nam gazet. O jakimkolwiek przemycaniu listów do rodziny lub odwrotnie nie było co marzyć - zabroniono. Czas upływał w ciągłej niepewności co do naszego losu, gdyż sądząc po tak kompletnej naszej izolacji od świata, można się było spodziewać najgorszego, tym bardziej, że wiadomy nam był los naszych rodaków w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Z drugiej strony dręczyły nas obawy o los naszych rodzin pozostałych w kraju. Tym się tylko żyło i codziennie

temat ten był przez nas omawiany. Dokładnej daty nie pamiętam, ale było to jesienią 1945 r., gdy wyprowadzeni do ustępu koledzy Hołyst i Lambrowski zmylili czujność wartowników i zbiegli. Od tej pory nasi dozorczy zaczęli stosować w stosunku do nas terror i różne szykany. W korytarzu na warcie postawili specjalnych łajdaków-sadystów, którzy znęcali się nad nami, obrzucali nas przekleństwami i obrażali naszą godność narodową. Pod koniec grudnia 1945 r. było to 30 lub 31, w nocy wszczął się ruch na korytarzu, poczym otwierano kolejno cele i zaczęto pojedynczo wyprowadzać uwięzionych. Gdy przyszła kolej na mnie zaprowadzono mnie do przeciwległej izby. Tam zastałem dwóch żołnierzy stojących przy drzwiach z bronią na gotuj, a przy ścianie przeciwległej stało trzech żołnierzy również z bronią skierowaną do mnie. Dwaj enkawudziści stojący na środku izby kazali rozebrać mi się do naga, a następnie dokonali szczegółowej rewizji mojego ubrania, pomiędzy palcami u rąk i nóg oraz zaglądali do jamy ustnej i odbytnicy. Od ubrania poodrywali wszystkie guziki i sprzączki. Po zakończeniu rewizji kazali zabrać swoje ubrania, wprowadzili do innej izby, gdzie ubrałem się. Tam zastałem innych kolegów, którzy już przede mną byli poddani rewizji. Po zakończeniu rewizji ustawili nas dwójkami, kazali brać się pod ręce, w ten sposób wprowadzili nas do podstawionego pod same drzwi samochodu więziennego, którym zawiezieni zostaliśmy na stację kolejową i załadowani do wagonu więziennego. Z Kijowa dowieźli nas do Moskwy. W wagonie więziennym spędziliśmy Nowy Rok 1946. Na stacji kolejowej w Moskwie przetrzymali nas osiem dni. Do jedzenia dali nam po pół kilograma chleba i po kawałku słonej ryby na dobę, płynu żadnego. Pragnienia picia trudno opisać. Na nasz krzyk oraz awantury przynosili nam konwojenci wiadro wody jeden raz dziennie, wodę z mrozu i z lodem - trzeba było szybko wypić podanym kubkiem, gdyż bez pardonu zabierali. Po ośmiu dniach zawieźli nas do Riazania, tam wysadzili i w mroźny, styczniowy dzień po głębokim śniegu zaprowadzili do obozu oddalonego o 5 kilometrów od Riazania²⁴. W Kijowie dali mi na drogę porwany

²⁴ Obóz rizański nr 178-454.

łach zwany waciakiem i taką czapkę, na nogach miałem tylko pantofle, spodnie, a pod spodniami krótkie, letnie kalesony.

Obóz w Riazaniu

Przed bramą obozu, powitała nas duża grupa rodaków przebywających w obozach rosyjskich od 1944 r. Szczególnie serdeczne powitanie miałem z towarzyszami broni z okresu okupacji niemieckiej Michałem Kochmańskim²⁵, Edwardem Bieleckim z Biłgoraja i Józefem Strzałką z Biszczy²⁶. Wobec tego, że byliśmy zmarznięci i zmęczeni dziesięciodniową podróżą, koledzy porozumieli się z kucharzami i zrobili nam niezłą, jak na warunki obozowe, zupę na kolację. Podróż z Kijowa do Riazania w wagonie więziennym, nie ogrzewanym, bez zimowego ubrania, mocno odbiła się na moim zdrowiu.

Następnego dnia po przybyciu do obozu wydano nam sienniki i wskazano na kupę startej na popiół słomy, by nabrać tego do sienników. Tak jak to zrobili moi koledzy przywiezieni z Kijowa, poszedłem i nabrałem tego śmiecia do siennika - nie dało się wybrać bez śniegu i kawałków lodu - nie było w czym wybierać. Na tym śmieciu położyłem się spać, a skutki tego spania takie, że następnego dnia zabrano mnie do prowizorycznego szpitala obozowego, gdzie nasi lekarze, Polacy - więźniowie jak i my stwierdzili zapalenie płucnej. W szpitalu tym przeleżałem około 4 miesięcy. Gdy wyszedłem ze szpitala to już było ciepło i można było korzystać ze spaceru na powietrzu w obrębie obozu okolonego czterema rzędami drutu kolczastego. Na każdym rogu tego ogrodzenia był tzw. „gołębnik”, na którym stał żołdat (wartownik) z karabinem maszynowym i pistoletem. Na ogrodzeniu umieszczone były reflektory. Na noc, na zewnątrz ogrodzenia przywiązywane były psy, które miały alarmować w razie ucieczki.

²⁵ Michał Kochmański „Gryf”, szef wywiadu rejonu AK Biłgoraj.

²⁶ Józef Strzałka „Zagłoba”, kwatermistrz oddziału Edwarda Błaszczaka „Groma”.

W obozie było nas około 1500 więźniów Polaków, w tym około 50 kobiet oraz trzydziestu Rosjan przywiezionych z krajów zachodnich. Byli tam rodacy z różnych terenów Polski, przeważnie z województw: lubelskiego, wileńskiego, lwowskiego, mniej z warszawskiego. Było pięciu generałów: gen. Bitner z lubelskiego²⁷, generał podający się za Grabowskiego - prawdziwe Jego nazwisko Kazimierz Tumidajski „Marcin” Komendant Okręgu Lubelskiego, gen. Filipowicz z lwowskiego, gen. Świtalski z lubelskiego, gen. Krzyżanowski „Wilk” z Wileńszczyzny²⁸ - którego przywieźli około połowy 1946 r. z więzienia z Moskwy.

Poza tym było trzech pułkowników: Czerwiński ze Lwowa²⁹, Majnlich z-ca Komendanta Okręgu z Lublina, Tura z lubelskiego - wszyscy z Armii Krajowej.

Spośród znanych na naszym terenie dowódców oddziałów partyzanckich AK zastałem w obozie również majora „Żegotę”³⁰. Więźniowie podzieleni byli na oficerów i szeregowych, a zależało to od tego, kto jaki stopień podał. Oficerowie ulokowani byli w oddzielnych barakach. Poza tym otrzymali oni po jednym dekagramie tytoniu i nie byli używani do żadnych prac. Natomiast szeregowi, ci którzy używani byli do pracy, też otrzymywali po 1 dag tytoniu lub machorki na dzień i po 60 dag chleba. Ci szeregowi, którzy do pracy nie byli używani, otrzymywali po 50 dag chleba na dzień oraz na obiad zupę lurę, na śniadanie i kolację jakieś pomyje zwane czarną kawą. Tytoniu nie otrzymywali. Wielu spośród więźniów poszłoby chętnie do pracy poza druty, lecz nie wszystkich chcieli wyprowadzać z obozu. Chodziło o to, by ludzi bardziej światłych nie kontaktować z obywatelami rosyjskimi ze względów politycznych. Nie byłem w porządku ze swoim zdrowiem. Jeszcze przed aresztowaniem, znacznie się ono pogorszyło podczas

²⁷ Ludwik Bittner, ps. Baza, Dunio, Halka, Rot, Tarnowski generał brygady Wojska Polskiego, komendant Okręgu AK Lublin (1941–1943), w czasie akcji „Burza” akcji dowódca 9 Podlaskiej Dywizji Piechoty AK.

²⁸ Aleksander Krzyżanowski, ps. Wilk, Wesołowski, Dziemido, Jan Kulczycki pułkownik artylerii Wojska Polskiego, komendant Okręgu Wileńskiego AK. W 1994 awansowany pośmiertnie do stopnia generała brygady.

²⁹ Stefan Czerwiński, ps. Dalia, Karabin, Luśnia, Stefan, Zamek, Zamkowski, pułkownik dyplomowany artylerii Wojska Polskiego komendant Okręgu AK Lwów.

³⁰ Tadeusz Sztumberk-Rychter, ps. Miłosz, Tadeusz, Żegota, oficer artylerii Wojska Polskiego dowódca Kompanii Warszawskiej i 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

przebywania w lochach NKWD w Kijowie. Okropne warunki podróży z Kijowa do obozu w Riazaniu spowodowały, że zmuszony byłem po paru tygodniach od wyjścia ze szpitala ponownie udać się po poradę do naszego lekarza, (więźnia pracującego w szpitalu), który po zbadaniu ulokował mnie z powrotem w szpitalu.

W szpitalu były znacznie lepsze warunki, gdyż miałem własne łóżko i obsługę. Przy tym jedzenie było cokolwiek lepsze i otrzymywałem 1 dag tytoniu. Kierownikiem tego szpitala był Rosjanin, lecz mało zaglądał do chorych, właściwą opiekę nad chorymi sprawował nasz lekarz, pan Osiński - imienia jego nie pamiętam i nie wiem z jakich okolic Polski pochodził. Pan Osiński zaopiekował się mną. Był w tym szpitalu i drugi lekarz Polak, lecz nazwiska jego nie pamiętam. W ambulatorium pracował lekarz Wiśniewski, również nie pamiętam jego imienia. Ile ci ludzie włożyli pracy i troski o chorych, ile starań, by tych chorych ratować i by mogli jeszcze wrócić do ojczyzny. Nadzieją tą każdy z nas żył. Lekarze ci byli bez reszty oddani cierpiącym rodakom. Mieliśmy w obozie również dentystę, był to prawdopodobnie technik dentystyczny, ten też miał swoją pracownię, jednakże za swoje usługi pobierał po jednym lub więcej rubli.

W obozie w Riazaniu jakikolwiek kontakt z rodziną w kraju był zakazany. Pisaliśmy listy i posyłaliśmy przez tych współwięźniów, którzy wyprowadzani byli poza obóz do pracy i za pośrednictwem Rosjan wrzucali je do skrzynek pocztowych. Na te listy nikt z nas odpowiedzi nie otrzymywał.

W ciągu całego czasu pobytu w obozie w Riazaniu, z małymi przerwami, przebywałem w szpitalu pod opieką lekarza Osińskiego, w tym dwukrotnie wysyłany byłem na leczenie do obozowego szpitala w Skopinie. Gdy w połowie 1946 r. wieźli nas do Skopina. mieliśmy, jak na stosunki rosyjskie, uczciwych konwojentów, którzy w czasie dłuższego postoju na stacji kolejowej w Riazku pozwolili nam po paru wychodzić na miasto. Skorzystałem z tego i ja. Napisałem wówczas kartkę pocztową do domu i wrzuciłem do skrzynki pocztowej. Jako swój adres zwrotny podałem obóz w Skopinie. W obozie tym

przebywałem około trzech miesięcy i tak się szczęśliwie złożyło, że pod koniec mojego tam pobytu politruk tego obozu doręczył mi kartkę pocztową od rodziny z Polski. Czytałem tę kartkę i płakałem z radości, gdyż po dwu i półletnim pobycie w obozach dowiedziałem się, że żona i dzieci są zdrowe, uczą się. Najbardziej obawiałem się o syna. Bałem się, by Zbyszek nie uległ namowom i nie wpłatał się w walkę polityczną. Zimową porą z 1946/1947 r. przebywałem w tym obozie w Skopinie po raz drugi, byłem tam około dwóch miesięcy. Ostatnio, gdy nas wieźli z Riazania do Skopina, mieliśmy bardzo przykrą podróż. Odległość około 200 km pokonaliśmy przez tydzień, w wagonie towarowym, nieogrzewanym przy 15 stopniowym mrozie. Gdy przyjechalismy do Skopina to jednego z naszej grupy wniesiono do baraku na noszach, a zanim dali mu miejsce na sali zmarł na noszach w korytarzu. Do naszego transportu dołączony był wagon z jeńcami niemieckimi, ci w drodze z Riazania do Skopina mieli sześciu trupów - tak wyglądała nasza podróż. Po dwóch miesiącach wracaliśmy z powrotem do Riazania. Wagon towarowy do 1/2 wysokości był naładowany gliną. Choć wagon kryty i to bez drzwi to zmarznięta glina, zasypana śniegiem, nie pozwalała stać bo za nisko, siedzieć też trudno, gdyż śnieg i mróz.

W obozie w Riazaniu było o tyle lepiej od warunków w Skopinie, że była nas duża ilość. Mieliśmy tam czterech uwięzionych księży Polaków, którzy odprawiali msze święte, spowiadali i udzielali komunii świętej. W porze zimowej msze odprawiane były w korytarzu baraków, natomiast w porze letniej na placu obozowym. Nie bardzo to podobało się naszym dozorcóm. Jednakże nie było wypadków przeszkadzania w tych praktykach religijnych.

Baraki były strasznie zapluskwione i dlatego latem porą co pewien czas wynosiliśmy ramy i deski z pryczy na plac, gdzie paliło się ognisko a nad nim kocioł z wrzącą wodą, w który zanurzaliśmy kawałki pryczy z pluskwami i w ten sposób część pluskw była niszczona. Nasi dozorczy robili nam zbiórki na placu, gdzie musieliśmy stać po kilka godzin. W tym czasie cała załoga obozowa wchodziła do opróżnionych baraków i dokonywała szczegółowej rewizji.

Najbardziej przykre były dla nas święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Wtedy z całą siłą wybuchała tłumiona w życiu codziennym tęsknota za krajem ojczystym, za rodziną i wolnością. Ilekroć nasuwało się zwątpienie, czy w ogóle zobaczy się jeszcze swój kraj, swoją rodzinę. Żołnierz Armii Krajowej przechodził tragedię, którą zgotowali mu Rosjanie i ich sprzymierzeńcy, komuniści polscy. Za nasz udział w ciągu pięcioletniej okupacji niemieckiej w walce ze wspólnym wrogiem, z najeźdźcą hitlerowskim, dano nam lochy NKWD i obozy koncentracyjne. Niejednokrotnie składaliśmy protesty do władz rosyjskich za bezprawne nasze uwięzienie, lecz pozostawało to bez żadnego skutku. Wobec tego postanowiliśmy na znak protestu urządzić głodówkę. W dniu 29 czerwca 1947 r. o godz. 6 rano we wszystkich barakach przebiegli korytarzami niektórzy ze współorganizatorów głodówki z okrzykiem „Niech żyje głodówka!” - było to hasło do rozpoczęcia głodówki. Tak rozpoczął się nasz protest przeciwko bezprawiu. Taki czyn w ówczesnych warunkach dyktatury komunistycznej w Rosji był czymś niezwykle i niedopuszczalnym, lecz nie mieliśmy innego sposobu sprzeciwu, gdyż składane apelacje na piśmie pozostawały u władz lokalnych bez odpowiedzi. W pierwszych dwóch dniach głodówki grożono nam więzieniem i różnymi innymi represjami, jednak groźby te pozostały bez skutku. Na trzeci dzień wywieźli generałów i pułkowników do obozu w Skopinie. Znaczoną część wywieźli do więzienia w Riazaniu, między innymi Michała Kochmańskiego, mnie i wielu innych do obozu jeńców niemieckich pod Riazaniem. W obozie naszym pozostało około pięćdziesięciu tych, którzy nie przystąpili do głodówki. Wszyscy wywiezieni, gdziekolwiek przebywali, kontynuowali głodówkę. Muszę tutaj zaznaczyć jaką taktykę przyjęli dozorczy obozu, do którego zostałem przywieziony. Dali nam czysto zaśnie łóżko w prowizorycznym szpitalu obozowym. Przy każdym łóżku stała szafka nocna przykryta serwetką, a na niej postawili nam po pół szklanki wódki, po pół kg chleba na talerzu i po jednym surowym ogórku. Na tej sali było nas szesnastu, z których tylko jeden nie wytrzymał nerwowo na widok wódki i wypił ją. Reszta głodówki

nie przerwała. Na piąty dzień głodówki zaroilo się od władz NKWD różnych stopni. Zaczęły się z ich strony już nie groźby, jak na początku, lecz solenne przyrzeczenia, że sprawa naszego powrotu do kraju już wkrótce zostanie załatwiona pozytywnie i pojedziemy do Polski. Składane nam zapewnienia oraz stan głodujących po siedmiu dniach, gdy protestujący zaczęli się kłaść lub padać z wycieńczenia, skłoniły nas do przerywania głodówki. Gdy to nastąpiło, zawieźli nas z powrotem do obozu. Dowiedziałem się wtedy, że komendant Okręgu Lubelskiego generał Kazimierz Tumidajski „Marcin”, podający się za Grabowskiego, bronił się gdy tamtejsi dozorczy próbowali go sztucznie odżywiać, w wyniku czego zmarł na serce.

Na trzeci dzień od zwiezienia nas do obozu zabrali pierwszą grupę około 400 ludzi, w tym pozostałych przy życiu czterech generałów, pułkowników i innych oficerów - dokąd ich zabrali nie wiedzieliśmy. Następnego dnia zabrali drugą grupę, a na trzeci dzień trzecią grupę, w której i ja się znalazłem. Pod silną eskortą z psami i karabinami maszynowymi zaprowadzili nas do bocznic kolejowej, tam załadowali do wagonów towarowych i z Riazania przez Moskwę zawiezieni zostaliśmy w silnie strzeżonym pociągu do obozu w Borowiczach³¹, na północ od Nowogrodu. Warunki pobytu w obozie Borowicze były takie same jak w Riazaniu.

Po miesiącu od przyjazdu do Borowicz przyjechał do nas pułkownik NKWD, zabrał nas na plac obozowy i urządził coś w rodzaju wiecu. Mówił nam, że już mamy niepodległą i demokratyczną Polskę, że wkrótce pojedziemy do kraju. Przy tym ostrzegł, że jeżeli będziemy się tam źle sprawować to przyjedziemy z powrotem do obozu w Rosji - taka to miała być niepodległa Polska. Wyjechaliśmy za dwa miesiące.

Wieżli nas do Brześcia w zamkniętych wagonach towarowych. Był to już październik, a wagony nie ogrzewane, zimno. Podróż do Brześcia trwała około 10 dni i mocno się przeziębilem.

W obozie przejściowym w Brześciu trzymali nas 10 dni. W tym czasie zwieźli do granicy, do Brześcia, wszystkich wywiezionych z obozu w Riazaniu. Po 10 dniach pobytu w Brześciu załadowali do

³¹ Zespół obozów nr 270 mieszczący się w Borowiczach, w oblasti nowogrodzkiej.

wagonów pierwszą grupę, w której i ja się znalazłem. O godzinie jedenastej zamknęli wagony i dopiero z nastaniem nocy doczepili parowóz i przepuścili przez granice. Wagony odemknęli nam kolejarze na stacji w Terespolu. Wysiedliśmy z pociągu na stacji w Białej Podlaskiej. Tam w PUR - Polskim Urzędzie Repatriacyjnym - zostaliśmy nakarmieni, wydano nam bezpłatne bilety kolejowe na przejazd do domu i karty repatriacyjne. Do domu, do Biłgoraja powróciłem 29 października 1947 r. Byłem tak chory i zmęczony podróżą, że nie mogłem o własnych siłach dojść do domu.

Po powrocie do Biłgoraja okazało się, że trzy miesiące po moim aresztowaniu tj. w październiku 1944 r. żonę z dwojgiem dzieci, UB wyrzuciło z własnego domu i umieściło ją w walącej się ze starości ruderze, a mój dom zajęty został na biuro Urzędu Bezpieczeństwa.

Łudziłem się, że gdy powrócę do kraju i domu, nareszcie będę mógł zażyć spokoju i leczyć swoje potargane zdrowie po tak ciężkich przejściach w okresie niemieckiej okupacji, a następnie w lochach NKWD w Kijowie i obozach na terenie Rosji. Pierwsze trzy miesiące od powrotu przeleżałem w łóżku. Gdy poczułem się silniejszy, zacząłem się starać o pracę, gdyż w domu były pustki. Nie było co jeść, nie miał kto zarabiać. Okazało się wtedy, że dla takiego przestępcy „politycznego” - czarnej reakcji, jak nas byłych żołnierzy AK nazywano, nie ma pracy.

Nie będę tego opisywał w tym miejscu, gdyż warunki w jakich się znalazłem po powrocie z Rosji stanowią oddzielny okres mojego trudnego życia. Stwierdzam jedynie, że praca moja w konspiracji, w szeregach Armii Krajowej, nie miała nic wspólnego z polityką - trzymałem się z daleka od wszelkich konfliktów politycznych.

Za moją pracę i poświęcenie w walce z okupantem, w walce o wolność Polski zapłacono mi, tak jak i wielu innym żołnierzom AK, lochami i obozami koncentracyjnymi na terenie Rosji, a było to dziełem nie tylko NKWD, lecz do spółki z UB.

Biłgoraj, sierpień 1966 r.

Przypisami opatrzyła - Maria Działo



Kolumna żołnierzy AK wkraczająca do Biłgoraja w lipcu 1944 r.
(ze zbiorów Muzeum Ziemi Biłgorajskiej).



Ludność Biłgoraja wita wkraczających żołnierzy AK na rogatkach miasta,
od strony Bojar (ze zbiorów Muzeum Ziemi Biłgorajskiej).

Niezlomny żołnierz Ignacy Pyter „Murzyn”

Ignacy Pyter „Murzyn” to żołnierz Armii Krajowej, bohater ostatniej wojny. W pamięci potomnych zachowało się niewiele faktów z jego życia, a i w tych znanych występują pewne niezgodności. Otóż wątpliwości budzi wiek „Murzyna”. Tadeusz Nowak „Butrym”, który znał go osobiście twierdził, że miał około 40 lat¹. Natomiast Jerzy Józwiakowski w krótkiej notatce o Ignacym Pyterze podaje rok 1912 jako prawdopodobny czas jego urodzin. Notatkę tę sporządził w oparciu o relacje Szczepana Matei „Sokoła” i Adama Grochowicza „Andrzeja” i arch. AKZ². Po poślubieniu Sabiny Rogalskiej, z którą doczekał się jedyne go syna Henryka, Ignacy Pyter przeniósł się z rodziną ze Zwierzynca do Długiego Kątu. Zamieszkali na osiedlu Tartak w jednym budynku z rodzicami Mariana Witkowskiego „Witka”. Osiedle należało do Zakładu Tartaczno go Długiego Kątu, który był własnością Ordynacji Zamojskich. Ignacy Pyter pracował w tym zakładzie jako ślusarz- mechanik³. Był pracownikiem niezwykle cenionym ze względu na posiadane kwalifikacje zawodowe i pracowitość. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej przeniósł się do pracy w Stalowej Woli, gdyż zapewniano mu tam znacznie wyższe wynagrodzenie⁴. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany w szeregi Armii Polskiej i w stopniu plutonowego wyruszył na front. Po zakończeniu kampanii wrześniowej wrócił do domu w mundurze Wojska Polskiego. Podjął pracę w Zakładzie Tartaczno my w Długim Kącie⁵. Niezwłocznie zorganizował kolegów z pracy do zbierania

¹ T. Nowak, *Księga Pamięci Rejonu AK Józefów*, Narol 1995 b.s.

² J. Józwiakowski, *Armia Krajowa na Zamojszczyźnie*, Lublin 2007, s. 932 – 933.

³ Relacja Mariana Witkowskiego „Witka” o partyzancie Ignacym Pyterze, podoficerze sił zbrojnych Armii Krajowej, działającym w latach 1939 – 1945.b.s.

⁴ T. Nowak, op. cit., b.s.

⁵ Relacja Mariana Witkowskiego, op. cit., b.s.

porzuconej przez wojsko broni i amunicji, którą poddawali konserwacji i magazynowali w specjalnie przygotowanej do tego celu skrytce, na terenie tartaku. Marian Witkowski w swoich wspomnieniach tak zrelacjonował wydobywanie broni zatopionej w studni:

„Pochwalilem się kolegom, gdzie są ukryte kabeki. Następnego nocy zebraliśmy się do wydostania broni ze schowka: Tadeusz Nowak, Ignacy Pyter, Mieczysław Pysznik i ja. Przygotowaliśmy sznury, pozakręcane widły i z przymocowanymi ciężarkami wpuściliśmy do studni, kręcąc dokoła betonów. Męcząca praca, lecz konieczna. Po kilku godzinach mieliśmy już dwa kabeki i jeden RKM. Następnego nocy wydobyliśmy cztery kabeki, ciesząc się taką zdobyczą. Jeden kabek zostawiłem sobie, pozostałe przekazaliśmy na placówkę leśną. Natomiast z amunicją było łatwiej, bo Ignacy Pyter znał miejsce, gdzie w trocinach zakopana była amunicja. Odkopanych zostało sześć żelaznych skrzynek z amunicją do CKM w taśmach. To było bardzo dużo amunicji”⁶. Ignacy Pyter werbował również kolegów ze swojego osiedla do konspiracji. W skład zorganizowanej przez niego grupy konspiracyjnej weszli m.in.: Władysław Kowal, Tadeusz Nowak, Kazimierz Nowak, Jan Mesko, Piotr Witkowski, Marian Witkowski, Mieczysław Wójcik. W listopadzie 1941 r. poprowadził swoją grupę na Krzaczkową Górę niedaleko Majdanu Nepryskiego, gdzie zgromadziło się w sumie około stu ludzi, którzy zostali tam zaprzysiężeni do AK⁷. Nie ma zgodności co do czasu w jakim wstąpił do organizacji podziemnej sam „Murzyn”. Relacje Mariana Witkowskiego „Witka” sugerują, że musiało to nastąpić jeszcze w 1939 r.⁸, zaś Tadeusz Nowak „Butrym” podaje 1943 r.⁹ Natomiast Franciszek Mielniczek „Jeż” datuje to wydarzenie na 1940 r. i raczej tę datę należy przyjąć za obowiązującą, gdyż Ignacy Pyter był przecież żołnierzem z plutonu „Jeża”, pełniącym w nim funkcję zastępcy dowódcy drużyny, a przecież zwierzchnik musiał znać jego rangę¹⁰. Należy tu również

⁶ Wspomnienia Mariana Witkowskiego „Witka”, partyzanta z oddziału „Wira” b.s.

⁷ Relacja Mariana Witkowskiego, op. cit., b.s.

⁸ Ibidem

⁹ T. Nowak, op. cit., b.s.

¹⁰ Franciszek Mielniczek, Z tamtych lat.. Wspomnienia AK –owca z Zamojszczyzny. [w:] Zeszyt Osuchowski, t.14, Osuchy 2017, s. 116.

wspomnieć o rozbieżnościach dotyczących stopnia wojskowego, przysługującego Ignacemu Pyterowi. Marian Witkowski przypisuje mu stopień plutonowego¹¹, a Jerzy Józwiakowski pisze o stopniu kaprała¹². W wykazie sporządzonym przez Franciszka Mielniczka „Jeża” również figuruje stopień kaprała¹³. Ignacy Pyter w listopadzie 1942 r. dołączył do oddziału dywersyjnego, a w późniejszym czasie leśnego pod dowództwem Konrada Bartoszewskiego „Wira”. W czerwcu 1944 r. na krótko przed rozpoczęciem w lasach Puszczy Solskiej niemieckiej operacji przeciwpartyzanckiej „Sturmwind II”, zebrał wszystkich chłopców z osiedla Tartak i zaprowadził ich do obozu „Wira” na Trzepietniaku. Wraz z nimi walczył w bitwie pod Osuchami i szczęśliwie udało mu się przebić z okrażenia¹⁴. Pięknie opisała „Murzyna” sanitariuszka Janina Roguska - Bartoszeńska „Nina”:

„Nadchodzi jeszcze jedna grupa. Oddycham z ulgą i ufnością – jest wśród nich Murzyn. Poszarpana stara jesionka, 2 automaty przewieszone przez plecy, trzeci w ręku i ta najwyklesza w świecie twarz spokojnego robotnika – nie znamionują właściwie niczego i nie mogą być usprawiedliwieniem mojej ufności. Mimo, że znałam go dawno – zobaczyłam Murzyna właściwie pierwszy raz w kotle, kiedy pewnej zimnej, mokrej nocy przyniósł swoją jesionkę, aby okryć nią rannego. Spokojny, usłużny i zawsze ostatni ze swoimi potrzebami stale zjawiał się tam, gdzie był najpotrzebniejszy. Przytrzymywał rannych, pomagał ich opatrywać. Znikał niepotrzebny, by zjawić się znowu wtedy, kiedy zdawało mi się, że nikt nie zechce mi pomóc. Dzisiaj Murzyna nie ma już między nami, ale na zawsze zostanie w naszej pamięci takim, jakim był wówczas. Najwytrwalszym i najofiarniejszym kolegą, oddanym całkowicie sprawie wolności, jaką sobie wymarzył.”¹⁵

¹¹ Relacja Mariana Witkowskiego, op. cit., b.s.

¹² Józwiakowski, Armia Krajowa na Zamojszczyźnie, Lublin 2007, s. 932 – 933.

¹³ Franciszek Mielniczekop. cit., s. 116.

¹⁴ T. Nowak, op. cit., b.s.

¹⁵ Nina, Wspomnienia sanitariuszki z akcji pod Osuchami. [w:] Niemcy i Zamojszczyzna 1939 – 1944, Zamość 1946, s. 161 – 162.

Po wyzwoleniu Ziemi Biłgorajskiej spod okupacji niemieckiej dla dotychczasowych jej obrońców nastały jeszcze gorsze czasy. Żołnierze AK byli prześladowani przez NKWD i rodzime UB. „Murzyn” zagrożony aresztowaniem znowu dołączył do „Wira”, który skupiał wokół siebie przeciwników nowej władzy. W nocy z 28 na 29 stycznia 1945 r. Ignacy Pyter wziął udział w akcji na więzienie UB w Biłgoraju w celu uwolnienia aresztowanych żołnierzy AK. Znacznie przyczynił się do skutecznego przeprowadzenia tej operacji. Jako ochotnik wraz z ppor. Antonim Radzikim „Orkiszem” i Sławomirem Paulem „Sławkiem” (żołnierzem 27 WDP AK), podjął się wykonania najtrudniejszego zadania. Po przecięciu kabli telefonicznych weszli po drabinie na mur, przecięli druty kolczaste i na sznurach opuścili się na dziedziniec więzienny. Zaczekali aż strażnika zwabiono dzwonkiem przy bramie, a wtedy z zaskoczenia go obezwładnili, odebrali klucze i otworzyli bramę. Pozostali partyzanci po cichu i sprawnie unieszkodliwili resztę wartowników i komendanta więzienia, wypuścili więźniów z cel i zamknęli w nich dotychczasowych strażników. Akcję przeprowadzono bez jednego wystrzału¹⁶. Po tej akcji funkcjonariusze biłgorajskiego UB szczególnie zajadłe tropili „Wira”. W Niedzielę Wielkanocną 1 kwietnia 1945 r. w domu Jana Berdzika w Górnikach miało miejsce szczególne spotkanie. Zgromadzili się tu na tzw. „świętecznym jajku” wyjątkowi goście. Mieszkającą u Berdzików Marię Piasecką „Żar” odwiedzili: Konrad Bartoszewski „Wir”, jego żona Rogulska - Bartoszevska „Nina”, towarzyszący im Ignacy Pyter „Murzyn” i Zygmunt Hanas „Wilczur”, pełniący wtedy funkcję furmana. Z pobliskiego Majdanu Nepryskiego dołączył także Franciszek Mielniczek „Jeż”. Byli tam również Cyprian Łyś „Bocian” i Stefan Poździk „Wrzos”. Radosny święteczny nastrój przerwało nagle pojawienie się zdyszanej Hanki Sobczak „Brzozy”, która przybiegła z ostrzeżeniem o pojawieniu się ekspedycji UB na stacji kolejowej Krasnobród, zmierzającej z tankietką w kierunku Starych Górnik, mogących

¹⁶ J. Roguska - Bartoszevska, Uwolnienie żołnierzy Armii Krajowej z więzienia w Biłgoraju. [w:] Armia Krajowa na Zamojszczyźnie, Lublin 2007, s. 936.

lada moment otoczyć Górniki. Nastąpiła pośpieszna ewakuacja świątecznych gości. „Murzyn” i „Wir” uciekali furmanką powożoną przez „Wilczurę”, ale dostrzegli to ubowcy i ruszyli za nimi w pościg tankietką strzelając w ich kierunku z broni maszynowej. Jeden z koni ciągnących furmankę okulał i „Murzyn” zeskoczył z niej, aby ulżyć koniom. Teraz biegł za furmanką, ale niestety z tankietki dosięgły go kule ubowców śmiertelnie raniąc¹⁷.

Koledzy z partyzantki pod osłoną nocy złożyli ciało Ignacego Pytera do zbitej pośpiesznie z prostych desek trumny i przewieźli na cmentarz parafialny do Józefowa i tam w tajemnicy pochowali w nieoznaczonym grobie. W pogrzebie tym uczestniczyli: Marian Witkowski „Witek”, Władysław Cieślak, Jan Margola. Po kilku latach przeprowadzono ekshumację i szczątki „Murzyna” zostały złożone w kwaterze partyzantów i żołnierzy Wojska Polskiego z napisem „Nieznany żołnierz” na tym samym cmentarzu. Dopiero wtedy, gdy można było mieć pewność, że grób nie zostanie zbezczeszczonej przez bezpiekę, Janina Bartoszeńska z wdzięczności za uratowanie męża, umieściła na nim napis „Ignacy Pyter”¹⁸. W czerwcu 2013 r. na murze kościelnym w Józefowie została zamieszczona tablica poświęcona Żołnierzom Wyklętym. W ich gronie znalazł się Ignacy Pyter „Murzyn”. Tablice ufundowało społeczeństwo Józefowa i ŚŻŻAK. Tyle lat musieliśmy czekać, aby jawnie i głośno można było mówić o bohaterskim żołnierzu AK, Ignacym Pyterze „Murzynie”, a przecież poświęcił tak wiele dla Ojczyzny. Oddał własne życie, ale w pewnym sensie poświęcił też swoją rodzinę. Żona samotnie wychowywała syna. Żyli bardzo ubogo. Szykanowani przez władzę ludową musieli opuścić mieszkanie w Długim Kącie i zamieszkać u siostry pani Sabiny, Marii Skwaryło. Sabina Pyter żyła w nieustającym, obsesyjnym wręcz strachu przed aresztowaniem, co spowodowało, że zapadła na zdrowiu. Zmarła w Deszkowicach w 1974 r., a jej syn Henryk popadł w chorobę psychiczną i ostatnie lata swego życia spędził w zakładzie zamkniętym¹⁹.

¹⁷ Franciszek Mielniczek op. cit., s. 90.

¹⁸ Relacja Mariana Witkowskiego, op. cit., b.s.

¹⁹ Jadwiga Skwaryło, Wspomnienie o mojej cioci Sabinie Pyter z domu Rogalskiej 1892 – 1974, b.s.



Ignacy Pyter „Murzyn” z żoną Sabiną i synem Henrykiem.

Spis treści

<i>Henryk Otręba „Żuk”</i> <i>żołnierz I batalionu BCh „Rysia”</i> Nawiązanie do relacji Wspomnienia młodego partyzanta	3
--	----------

<i>Maria Działo</i> „Oczy i uszy” I Rejonu i Obwodu AK Biłgoraj	17
---	-----------

<i>Adam Laszko</i> <i>ps. Lech Dla córki Jadzi</i> Z pracy konspiracyjnej w szeregach Armii Krajowej w okresie okupacji niemieckiej w latach 1939 - 1944	29
---	-----------

<i>Maria Działo</i> Niezlomny żołnierz Ignacy Pyter „Murzyn”	57
--	-----------



ISSN 2657-6856